Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XVIII.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Kor., (7 Mk.)**; dla Ameryki **8 Kor.**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1912 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Z podróży wizytacyjnej Ks. Wizytatora w Brazylii.

(Ciąg dalszy).

Na południe od Stanu S. Catharina położony jest ostatni w tym kierunku Stan Brazylii Rio Grande do Sul. Obszarem przewyższa on Paranę, bo ma 236.600 km^2, a liczba jego mieszkańców przekracza, o ile się nie mylę, jeden milion. Graniczy on od północy w swej wschodniej połowie ze S. Cathariną, a w zachodniej z częścią Parany, do której rości sobie prawo S. Catharina [1]), od zachodu z Argentyną a od południa z Uruguayem. Położenie jego w szerokości geograficznej, któremu na półkuli północnej odpowiada mniej więcej Marokko, aczkolwiek do gorącej strefy go włącza, jednak jest o 5 stopni korzystniejsze od Parany. Ponieważ jednak Parana stanowi znaczny płaskowyż, więc klimaty ich są prawie równe. Korzystniejszy zaś ma klimat od Stanu S. Catharina z powodu korzystniejszego ukształtowania powierzchni. W północnym całym granicznym pasie ma dosyć znaczne pasma wzgórz, w południowej części są mniejsze wzniesienia. Cały zaś środkowy pas kraju, od morza ku Argentynie na zachód, stanowi lekko falistą równinę, do której zlewają się liczne rzeki, uchodzące to do znacznej rzeki Rio Jacuhy, która przepływa ku wschodowi, to do Rio Ibicuhy, która płynie na zachód i wpada do Uruguayu. Równina ta odmienna jest całkiem od stepów Parany, porosłych jałową, nieużyteczną trawą. Tutaj zielona, świeża trawa, czyni z tego stepu nieprzejrzane okiem łąki, na których wypasają się nieprzeliczone stada bydła i koni. Ludność riograndzka odznacza się

---

[1]) Część położona między rzekami Uruguay, Iguassu i Rio do Peixe.

usposobieniem wojowniczem i rewolucyjnem; do boju i w boju oni pierwsi. Stąd najczęściej wychodziły rewolucye, jak i owa rewolucya w r. 1893, w której i Polacy niepotrzebnie krew przelali, a więcej się awanturowali. I teraz jeszcze, jak gdzieś potrzebna jest jakaś awanturnicza banda, żeby np. rozbijać się o granicę, czy za Parańczykami czy przeciw nim, z pewnością od Rio Grande zaraz w porę nadciągnie. Prawdziwy riograndeńczyk nosi szerokie szarawary i kapelusz o szerokich kresach, który en parade jest filcowy, a z tyłu zwiesza się na długim sznurze gruby chwast. Oczywista, że za pasem musi mieć wspaniały fak (długi nóż). Ten kostyum zwiększa jeszcze zadzierzystość jego wojowniczej miny. Duch ten wojowniczy wyrobił się podobno w nich w ciągłych starciach z Hiszpanami w początkach kolonizowania południowej Ameryki, boć tu było pogranicze strefy kolonii Hiszpanów i Portugalczyków. — Teraz jeszcze między Argentyną a Brazylią trwa ustawiczna emulacya i ciągłe podejrzywanie się o nieprzyjacielskie, zaborcze zamiary, a najwięcej się to widzi tu na tem pograniczu. Dlatego też i ruch wojskowy ze strony Brazylii tu jest największy. Zauważyłem tutaj w małych mieścinach duże kasarnie i wojska, jak na Brazylię, wiele.

Kolonizacya nowoczesna tego kraju wyprzedziła o wiele kolonizacyę S. Cathariny, a tembardziej Parany, tej do najnowszych czasów Syberyi Brazylijskiej. Najsilniej procentowo i najwcześniej napływali tu (nie mówię oczywista o Portugalczykach z kolonizacyi pierwotnej) Niemcy, którzy teraz przodują tu w handlu i przemyśle. Ich miasteczko S. Leopoldo powstało już podobno w r. 1829. Dość tu jest Francuzów, a więcej jeszcze Włochów. — Polacy zaczęli tu napływać właściwie dopiero po roku 1890, kiedy już druga wielka fala naszych emigrantów szła do Parany. Obecnie jest ich tu podobno przeszło 20.000. Ogniska, w których się skupiają, są w pasie północnym w górach, gdzie są kolonie Caxias, S. Marcos, Antonio Prado, Alfredo Chaves, które aczkolwiek nie są koloniami polskiemi, to jednak żywioł

polski jest tu często przeważający. Na południowy wschód między Porto Allegre a Pelotas są 2 duże, prawie polskie kolonie: Mariana Pimentel i S. Feliciano. Na zachodnio północnej stronie są dwie duże kolonie: Ijuhy i Guarany. Po miastach jest też nieco Polaków.

Pod względem kościelnym była ta prowincya aż do połowy przeszłego wieku tak opuszczona jak do ostatnich czasów Parana. Aż do r. 1854, jeśli się nie mylę, należała pod jurysdykcyę biskupstwa z Rio de Janeiro, założonego w roku 1676. Przez cały ten czas, jak mi to opowiadał ks. arcybiskup w Porto Allegre, raz przybył biskup z Rio de Janeiro tu na południe, gdy mianowicie towarzyszył cesarzowi, zwiedzającemu Rio Grande do Sul i Porto Allegre. Obecny arcybiskup Klaudyusz Gonçalves ze Zgrom. Ks. Misyonarzy, jest dopiero trzecim z rzędu pasterzem tej obecnie od r. 1910 już archidyecezyi. Do tej metropolii należy biskupstwo Stanu Catharina we Florianopolis i 3 nowokreowane biskupstwa w Rio Grande, a mianowicie Pelotas, Santa Maria i Uruguayana. Pod względem religijnym ogromny jest postęp w tych latach, jeszcze nie sześćdziesięciu od założenia biskupstwa. W ostatnich zwłaszcza latach za rządów obecnego arcybiskupa, postęp ten niesłychanie się rozwijał. Oprócz wielkiej gorliwości tego biskupa, sprzyjały temu i dobre stosunki jego z tamtejszym rządem. Rozmaitych Zgromadzeń męskich i żeńskich jest w tej archidyecezyi 17 czy 18. Najdawniejsi na tem polu pracy i najsilniejsi są OO. Jezuici. W S. Leopoldo mają najdawniejsze kolegium, aż do ostatnich lat 30 jedyne na całą południową połowę Brazylii, do którego z Parany i S. Cathariny musiała zjeżdżać młodzież szukająca nauki. Nadto mają Gymnasio Anchieta w Porto Allegre, Gymnasio Gonzaga w Pelotas, kolegium w Rio Grande do Sul i rodzaj Małego Seminaryum w Parecy. Pracy duszpasterskiej oddają się w 12-tu, jeśli się nie mylę, parafiach, prawie wyłącznie niemieckich. — Zgromadzenie Pallotynów pracuje w 7 parafiach najwięcej dla Włochów, dla których także pracują Kapucyni. Bracia szkół chrześci-

jańskich mają kilka (zdaje mi się 4) szkół ludowych i jedną rolniczą w Canoas. W ostatnich latach, wypędzeni z Francyi przenieśli się tu Maryści, których jest 120 rozmieszczonych w 20 domach. Mają jedno wielkie gimnazyum, około 10 kolegiów i szkoły ludowe. Założyli już tutaj swój nowicyat i juwenat, aby wkrótce utworzyć tu osobną prowincyę, gdyż dotychczas należą do prowincyi belgijskiej. Dużo jest także Zgromadzeń żeńskich, niema tylko Sióstr Miłosierdzia. Całą więc prawie pracę na polu kościelnem, ma tu w swych rękach duchowieństwo zakonne. Seminaryum dyecezyalne i Małe Seminaryum założył dopiero obecny biskup i cieszy się owocem tego dzieła w osobie kilkunastu księży, którzy pod jego okiem się wychowali. Obecnie jest w tem seminaryum dwóch Polaków — jeden na ukończeniu teologii, drugi na filozofii. Dziwnym zbiegiem okoliczności, niema żadnego domu Zgromadzenia księży Misyonarzy w całej archidyecezyi tego biskupa naszego Konfratra, który z tak otwartemi rękami wszystkie Zgromadzenia do swej dyecezyi przygarnia, Główną przyczyną jest to, że dotychczasowe pole pracy Misyonarzy, zbyt jeszcze jest odległe tu stąd. Prowincya brazylijska Zgromadzenia ma najdalej wysunięty na południe dom w Kurytybie, który i tak już jest zbyt odosobniony i oddalony od najbliższego swego sąsiada t. j. domu centralnego w Rio de Janeiro. Wszystkie inne domy są w prowincyach północnych Brazylii. Robił arcybiskup usiłowania, aby dostać swych Konfratrów do dyecezyi, nawet jakiś czas Misyonarze z prowincyi hiszpańskiej prowadzili jego Seminaryum, ale wycofali się stamtąd. Kilka razy także zwracał się do nas, abyśmy przybyli tamże dla pracy nad Polakami. Jego także inicyatywie zawdzięczamy to, że Polacy-Misyonarze w Brazylii pracują, bo jak mi sam mówił, zachęcił nieodżałowanego ś. p. Ks. biskupa Camargo do Baros, pierwszego biskupa Kurytyby, iż zwrócił się do nas i zaprosił do tej pracy. Ponieważ więc już, jak wspomniałem, usiłował nas do swej dyecezyi sprowadzić, postanowiłem go odwiedzić, omówić, czybyśmy nie mogli przynajmniej w części go zadowolić, a przy tem

pragnąłem poznać stan naszych rodaków w tym Stanie. Stąd moja podróż, którą z Florianopolis przedsięwziąłem do Rio Grande.

Jak już pisałem, wsiadłem z Ks. Chylaszkiem dnia 24 stycznia 1911 r. we Florianopolis na okręt Itapuca z towarzystwa okrętów Corseiro, który miał nas zawieźć do Porto Allegre, stolicy tego Stanu. Okręty brazyijskie nie wielkie, utrzymujące komunikacyę zwykle tylko między portami brazylijskimi, dają się bardzo we znaki swoim podróżnym. Trzymając sie blizko wybrzeży, podlegają strasznemu kołysaniu się. Gdy jeszcze żołądek europejski nie bardzo może podobać sobie w pokarmach brazylijskich zaprawionych nieco odorem okrętowym, można sobie wyobrazić, jak straszna jest ta podróż. Zdawało mi się, że mój organizm, który dotychczas stawiał czoło wszelkim morskim zamachom na zdrowie, tutaj już ulegnie. Dzięki Bogu nie dał się on i tym razem. Towarzysza mego jednak strasznie ta podróż wymęczyła. W dodatku jeszcze żadne piękne widoki nas nie zachwycały, a wiatr był przykry bardzo i chłodny. Gdy S. Catharina ze swymi pięknymi widokami zniknęła nam z oczu, zaczęły się wyłaniać piaszczyste brzegi Rio Grande do Sul. Na drugi dzień po południu zdawało się, że do Sahary piaszczystej jedziemy. Przebywszy mało co więcej jak połowę drogi z Florianopolis, jesteśmy na drugi dzień nad ranem na linii Porto Allegre, które leży o jakie 100 km. w głąb kraju. Niema jednak w tych okolicach żadnego portu na tych piaszczystyah brzegach, dlatego i żadna linia kolejowa nie łączy stolicy z morzem. Będziemy więc jeszcze przeszło dwa dni usiłowali dostać się okrętem do stolicy. Rzeczywiście dojazd ten, to wysiłek ciężki, nudny i nużący. Na przestrzeni między Porto Allegro i miastem Rio Grande oddziela morze piaszczysty pas lądu, szerokości przeciętnie 20 km. od wielkicgo jeziora Lagoa dos Patos (jezioro Kaczek), które południową swą kończyną łączy się z morzem przez wązką cieśninę odcinającą ów piaszczysty pas od dalszych wybrzeży południowych. Długość tego jeziora przechodzi 200 km.

Aby się więc do Porto Allegre dostać, trzeba wzdłuż tego piaszczystego pasa dopłynąć aż do owej cieśniny na południu, nią dotrzeć do jeziora i znów odbyć jeziorem drogę powrotną 200 km. ku północy. Ławice piaszczyste na dnie przesmyku łączącego jezioro z morzem i samego jeziora, czynią żeglugę bardzo trudną i niebezpieczną. Wiele statków utkwiło w tej niebezpiecznej drodze, a szkielety niektórych sterczące nad wodą powiększają grozę. Toteż większy zwłaszcza statek porusza się nader powoli między dwoma szeregami znaków w rodzaju żelaznych koszów, kierując się ciągle dawanymi mu sygnałami i miejscami poprzedzany małym parowczykiem, wskazującym mu drogę. Pogłębioną drogę zasypuje ciągle piasek i dlatego bezustannie pracują żurawie wyciągające go. W ten sposób na drugi dzień naszej podróży dnia 25 stycznia już po godzinie 7 wieczorem stanęliśmy w porcie miasta Rio Grande do Sul, położonego na początku cieśniny prowadzącej do jeziora na południowym brzegu. Wśród licznych bardzo okrętów w dość obszernym porcie, ustawił się nasz Itapuca. Ponieważ nie mieliśmy się tu zatrzymywać długo, podziwialiśmy już przy zmroku i potem wśród oświetlenia to miasto, położone na nieprzebytych piaskach. Miasto to noszące nazwę całego Stanu, nie jest jego stolicą i liczy tylko około 30.000 mieszkańców. Znaczenie jego całe jest w tem, że to jedyny port nadmorski całego stanu, bo Pelotas i Porto Allegre są już wewnątrz kraju nad jeziorem. Polaków jest tu niewielu. Oświatę między nimi szerzył jakiś czas Stanisław Słonina, przybyły tu z Galicyi. Nad ranem o godzinie 5 nasz okręt puszcza się w dalszą drogę wśród ciągłego omijania Scylli i Charybdy piaszczystej, a uderzając o nie czasem, potrząsa nami i o desperacyę przyprawia i tak już skołatanych podróżnych. Po czterech godzinach jazdy w górę jeziora, wsuwamy się ujściem rzeki S. Gonçales do portu Pelotas, gdzie ładowanie trwa aż do 5 po południu. Miasto liczy blizko 40.000 mieszkańców, w przeważnej liczbie Francuzów i Niemców, położone na piaszczystej równinie, na tle wzgórz w oddali ku pół-

nocnemu zachodowi sie ukazujących. Nad miastem góruje wieża kościoła, który obrano na katedrę nowego biskupstwa. Port cały zawalony beczkami ze „szarki“. Szarka to przysmak specyalnie brazylijski. Jest to mięso wołowe, suszone na słońcu, obsypywane rodzajem mąki. Suche wygląda jak sztokfisz. W handlach leżą tego mięsa jakby skór całe stosy na podłodze i roztaczają woń, która mnie o omdlenie przyprawiała. W bardzo nawet dobrych domach podają ją na stół, oczywista gotowaną i należycie przyprawioną. Ja sam jadłem ją raz w dobrym domu z apetytem, na który z pewnościąbym się nie był zdobył, gdybym był wiedział poprzednio, że to szarka. — Tu w Pelotas są ogromne rzeźnie, w około nich pola całe zastawione szeregami baryer, jakie stawiają u nas do suszenia bielizny, i na nich rozwieszone suszą się całe płaty mięsa. Takie rzeźnie spotykałem jeszcze kilka razy w dalszej podróży. Tu w Pelotas wywóz tego mięsa jest największy. — W ogóle hodowla bydła, które się stadami pasie same po stepach, stanowi znaczne bogactwo tego kraju. Również konie całymi stadami z Rio Grande pędzą w północne stany Brazylii. Tutaj są one bardzo tanie, a już w S. Catharina i Paranie sprzedaje się je za podwójną i potrójną cenę.

Polaków jest w Pelotas niewielu. O jakie 90 km. na północ w niewielkich górach Sierra do Encruzilhada jest kolonia S. Feliciano licząca około 2000 Polaków. Jakąś opiekę duchowną mają oni od ks. Rymara, zamieszkałego na kolonii Mariana Pimentel, położonej znów o mniej więcej 100 km. na północny zachód w kierunku ku Porto Allegre.

O 5 po południu nasz okręt opuszcza Pelotas, ale już w 2 godziny staje i zapuściwszy kotwicę postanawia czekać do dnia drugiego, nie chcąc w nocy ugrząść w piaskach. Ruszył rzeczywiście dopiero o 4 rano. O $5^1/_2$ po południu, pokazuje się naszym spragnionym tego widoku oczom Porto Allegre, prześlicznie rozsiadłe na górzystym półwyspie, naprzeciwko zlewu 5 rzek, między któremi potężna Jacuhy obfitemi swemi wodami, zdaje się zagrażać przepełnieniem

olbrzymiego basenu, jaki u stóp tego miasta tworzy zakończenie jeziora. Przez godzinę całą, zanim okręt do portu dobił, zachwycaliśmy się cudownym widokiem i już dowiedzieliśmy się, co znaczą te i owe budowle, pałace i kościoły. Już z pokładu podziwialiśmy pałac biskupi, zwracający swą prześliczną fasadą uwagę na siebie, już zobaczyliśmy katedrę i t. d.

W hotelu Lagache (właściciel francuz), używały sobie na nas w nocy moskity, z którymi toczyliśmy zawziętą walkę; a takeśmy rachowali na ten wypoczynek po tej okropnej podróży! Rano, odprawiwszy w katedrze mszę św., udaliśmy się do Ks Arcybiskupa. Przyjął nas rozradowany z nadzwyczajną serdecznością w swym skromnem po misyonarsku urządzonem mieszkaniu, składającem się z pracowni i sypialni, które zdają się nie licować z zewnętrzną okazałością pałacu. W pracowni wisi duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na który mi wskazał z uwagą, że to nasza Matka Boska, i dodając, że ten obraz otrzymał od jednego polskiego księdza i bardzo go sobie ceni. Rozmawialiśmy dużo o Polakach tamtejszych — chciał, abym przysłał Misyonarzy, alem tylko mógł obiecać, że przyjadą tam czasem, aby odprawić misye. Pokazał nam potem cały obszerny pałac, w którym ma i apartamenta okazałe, ale w których nie przebywa, tylko w razie uroczystych przyjęć. Zwiedziliśmy z nim szczegółowo Wielkie i Małe seminaryum, łączące się z pałacem i stanowiące trzy boki ogromnego kwadratu z pięknym dziedzińcem, otoczonym kolumnadą w około; frontowa linia tego kwadratu to pałac. Dowiedzieliśmy się od niego, że gmachy na seminaryum zbudował już jego poprzednik, a on zaczął seminaryum. Prowadzą je obecnie i wykładają w nich Kapucyni francuscy. Dużo bardzo i długo rozmawialiśmy o stanie jego dyecezyi i o koloniach polskich. Odniosłem wrażenie, że niesłusznie może zarzucają mu niektórzy ekskluzywny nacyonalizm brazylijski. Pożegnaliśmy wreszcie tego gorliwego pasterza, który choć jest 70-letnim starcem, jest pełen młodzieńczej energi i interesuje się wi-

dać wszystkimi szczegółami swego seminaryum i dyecezyi. W każdym kąciku seminaryum, gdzie nas oprowadzał, widać było jego bezpośrednie zajęcie się wszystkiem. Zaprojektował nam wreszcie przy pożegnaniu, abyśmy przenieśli się na mieszkanie do niego, ale myśląc, że może zaraz wyjedziemy z Porto Allegre, nie chcieliśmy już naszych rzeczy z hotelu przenosić i podziękowaliśmy, chętnie natomiast przyjęliśmy zaproszenie na śniadania i obiady. Mieliśmy więc jeszcze okazyę więcej przyjemnych chwil na rozmowie miłej z nim przepędzić [1]).

Przedewszystkiem chodziło nam teraz oto, aby wejść w kontakt z Polakami w tem mieście. Spodziewaliśmy się znaleźć w tem ułatwienie u O. Lasberga T. J., który do Misyj w r. 1910 (zesz. sierp.) napisał interesującą korespondencyę o Polakach w Rio Grande. Ojciec ten, to wędrujący ciągle po Brazylii misyonarz, a jako poliglota niósł pomoc także Polakom, Litwinom i Rusinom. Znają go od S. Paulo aż po Rio Grande. Oczywista, że raz na parę lat jest w stanie do tych kolonii zajrzeć. Ponieważ najwięcej przebywał w Porto Allegre, więc mógł się tutaj dosyć Polakami zajmować. Niestety, nie zastaliśmy go już tutaj. Natomiast poznaliśmy u OO. Jezuitów w Gymnasio Anchieta gdyśmy tam poszli na drugi dzień, braciszka, już podeszłego wiekiem Warszawiaka, który jednak słabo bardzo mówi po polsku, bo lata długie ojczystym swym językiem nie mówił. Gdyśmy z uprzejmym O. Superyorem wdali się w dłuższą pogadankę, nadszedł i O. Müller, co przed kilku laty w czasie swych teologicznych studyów bawił w Krakowie i nauczył się dosyć po polsku, ale teraz mówi dość słabo i nieśmiało. Polakom oddaje jednak znaczne usługi duchowne. Nadszedł tu i p. Racki, młody Polak, co studyował w seminaryum tamtejszem, ale je opuścił z powodu choroby oczu, a teraz we

---

[1]) Doszła mnie właśnie, po napisaniu tego, wiadomość, że gorliwy ten pasterz zrezygnował z arcybiskupstwa i rządzi tylko dyecezyą aż do zamianowania jego następcy.

wielkiej agencyi maszyn Singera zajmuje bardzo korzystne stanowisko. Już przedtem odwiedziliśmy p. Lesińskiego, właściciela apteki, który przed 10 laty wybrał się z Krakowa do Brazylii i teraz ma się bardzo dobrze. Odwiedziliśmy także p. Marczewskiego, prezesa polskiego Towarzystwa. Skupić jednak Polaków w większej liczbie było nam niemożliwe. Porto Allegre to miasto liczące 120.000 mieszkańców, zbudowane na terenie górzystym i bardzo rozległe. Jest tutaj około 2.000 Polaków rozrzuconych w rozmaitych punktach miasta. Kościół przy ul. Navigantes, gdzie się jeszcze Polacy schodzili i słyszeli czasem po polsku słowo Boże, spalił się krótko przedtem, a więc trudno ich było spotkać. Raz jeden wieczór przepędziliśmy na rozmowie o tamtejszych stosunkach z kilkoma z nich, którzy nas odwiedzili i w niedzielę po południu przepędziliśmy kilkanaście chwil w „domu polskim“ gdzie była zabawa młodzieży polskiej, urządzona staraniem Towarzystwa kobiet im. Konopnickiej. Dowiedzieliśmy się więc, że sami Polacy nie wiedzą ilu ich może być w Porto Allegre. Związali się w dwa towarzystwa męskie: Tow. Orła Białego (prez. Eug. Marczewski) i Tow. Kościuszki (prez. Józef Matusiak). Kobiety mają dwa towarzystwa: im. Konopnickiej i Zgoda. Cel ich, wspieranie ubogich i korzyści ekonomiczne. Każde z Towarzystw męskich, założyło szkołę polską. W szkole Orła Białego był nauczycielem p. Sapalski z Krakowa, liczyła tylko 15 dzieci; w szkole Kościuszki był nauczycielem p Burzyński, ale mieli ja zamknąć z powodu braku uczniów. Nie można się dziwić temu, bo trudno dzieciom z dalekich stron miasta spieszyć po uciążliwych, górzystych ulicach miasta do odległej szkoły. To też dzieci chodzą do szkół brazylijskich i niemieckich, bo niemców tu dużo, i wynaradawiają się. Na owej zabawie w „domu polskim“ świeżo przez Orła Białego zbudowanym (mały dom parterowy), miałem tego smutne dowody. Młodzież wśród zabawy, w której uczestniczyło i dużo młodzieży obcej, rozmawiała wyłącznie po brazylijsku, a tylko starzy w bufecie przy piwie starą polską mową się pocieszali. A przecież to

dopiero pierwsze pokolenie. Pod względem religijnym odniosłem wrażenie jeszcze smutniejsze. Że do kościoła nie chodzą, tłómaczą się tem, że nie mają swego kościoła, to znowu, że nie mają księdza mówiącego dobrze po polsku. A tymczasem prawdziwą przyczyną jest zobojętnienie i zmateryalizowanie. Pod względem materyalnym stoją wszyscy nie źle, niektórzy bardzo dobrze. Są rzemieślnikami i zarabiają dobrze; wspomniany p. Marczewski jest piwowarem. Młody p. Michał Chmielewski własną pracą doszedł do tego, iż jest urzędnikiem w skarbie państwowym i miał właśnie składać ostatni egzamin prawniczy. Przepędziłem z nim jeden wieczór na bardzo miłej i pożytecznej rozmowie. Robi bardzo korzystne wrażenie. Może z niego będzie przywódca tamtejszych Polaków. Namyślał się, czy się nie puścić na pole polityki. Mając za sobą poważną bądź co bądź gromadkę Polaków, mógłby i sam sobie i Polakom w ten sposób się przysłużyć. W Brazylii człowiek „polityczny“, który ma za sobą pewną gromadę, to wielki człowiek, a sfery rządowe bardzo go respektują. Niejaki Wacław Zieliński jest urzędnikiem w sekretaryacie robót publicznych. Jest też między nimi kilku wyznawców socyalizmu, których jednak inni dyskretnie swemi plecami przed nami zasłaniali. Aby tych biednych naszych rodaków ożywić pod względem religijnym i pomódz im pod względem narodowym, trzeba, aby w miejscu był ksiądz, polak pełen taktu i poświęcenia, którył by ich wszystkich w kościele albo jeszcze lepiej w dwóch lub trzech kościołach w różnych punktach miasta skupiał, a przymiotami swymi ująć ich sobie potrafił. Jadąc tudotąd cieszyłem się myślą, że uda się dla nich bezpośrednio coś zrobić, tymczasem przekonałem się, że na to kilka dni nie wystarczy. Długo zaś zostawać nie mogłem, więc trzeba było myśleć o wyjeździe. Za 10 dni miałem być koniecznie w Paranie u naszych, gdzie była już zwołana na ten czas konferencya. Tymczasem dowiadujemy się, że statek ku północy do Parany możemy mieć dopiero za tydzień. Postanowiłem więc spróbować szczęścia nową koleją. — Od kilku lat Towa-

rzystwa amerykańskie i belgijskie podjęły złączonemi siłami dzieło połączenia kolejowego między Rio de Janeiro a Porto Allegre, przez S. Paulo, Paranę i S. Catharina. Droga ta cała wynosi około 2.400 km. Częściowo istniała już kolej na tym trakcie, trzeba więc było zbudować jeszcze kolej między Ponta Grossa w Paranie, aż do środka Rio Grande. Przedsięwziecie to nie małe wobec gór i dziewiczych, nieprzebytych lasów, które trzeba było teraz koleją przebić. Obecnie kolej ta już na ukończeniu, ale różne były wieści co do tego, czy już jest całkowite połączenie, czy bezpiecznie jechać itp. Dowiedzieliśmy się w Dyrekcyi kolejowej, że jechać można, że na granicy Parany jeszcze roboty w toku, ale prowizoryczne mosty i wiadukty pozakładane i że jakoś pójdzie. W połowie drogi będziemy musieli wprawdzie 3 dni czekać na dalsze połączenie, ale że to miało być w okolicach, gdzie są kolonie polskie Ijuhy i Guarany, któreby można tymczasem zwiedzić, więc ta przerwa nas nie straszyła. Odmawiał nas wprawdzie Ks. Arcybiskup, abyśmy nie puszczali się tak niepewną i niewykończoną koleją, a gdy nie mógł przekonać, radził przynajmniej, abyśmy wśród tej jazdy akty żalu doskonałego często wzbudzali. A więc we wtorek 31 stycznia odprawiwszy msze św. rychło rano w niemieckim kościele św. Józefa, w którym pieczę duchowną sprawują OO. Jezuici, puściliśmy się w drogę.

Pierwszy nasz etap był do S. Maria, miasta położonego w środku stanu o 390 km. na zachód od Porto Allegre. Prowadzi tam linia kolejowa, która w dalszym ciągu idzie aż do Uruguayana, t. j. aż do granicy Argentyny, i przecina całe Rio Grande. Kursują tu i pociągi „pospieszne“, przy których jest i wagon przypominający nieco restauracyjny wagon europejski, jedynie na tej linii istniejący. Wyjechaliśmy z Porto Allegre o 7 rano i bardzo szczęśliwie spotkaliśmy się z zacnym Dyrektorem gimnazyum Marystów w S. Maria, O Webert, który wracał tamże. Przepędziliśmy więc cały dzień podróży na bardzo pouczającej pogadance z nim o stosunkach kościelnych w Rio Grande, o stanie

szkół, o działalności Marystów itp Wskutek tego i ta straszna wśród wielkiego upału i tumanów kurzu jazda była nieco znośniejsza. Wieczorem, zajechawszy do S. Maria, korzystamy z jego zaproszenia i jedziemy z nim do ich domu na noc. Przyjmują nas tam serdecznie i gościnnie i pokazują swój wielki Zakład. Jest tam 28 Marystow, uczniów oczywista nie było w Zakładzie, bo to jeszcze czas wakacyi Oprócz uczniów dochodzących, mają jeszcze duży internat. Poznajemy tu i O. Wimmera, prowincyała OO. Pallotynów, który nas prosił, abyśmy w naszej podróży korzystali z ich domów, które są właśnie w miejscach przestanków kolejowych. Miasteczko, o ileśmy widzieli w przejeździe, jest ładne i schludne, ma ładną promenadę, nowy, duży kościół przeznaczony na katedrę nowego biskupstwa, dla którego jeszcze wtedy zbierano patrymonium (200.000 milr.), jakie Rzym jako warunek erygowania tu biskupstwa postawił. Miasteczko to jest centrum Dyrekcyi Towarzystwa kolejowego. Stąd idzie kolej na północ do Parany i Rio de Janeiro, o której wspominałem wyżej. Przedłużenie zaś linii którąśmy przybyli, rozszczepia się później i idzie boczną gałęzią do Pelotas i miasta Rio Grande. Dodam jeszcze, że nadto ma Rio Grande krótką linię kolejową od Porto Allegre przez S. Leopoldo na północ i linię biegnącą wzdłuż granicy Argentyny i rzeki Uruguay do Uruguayu.

Wypocząwszy przez noc u gościnnych Marystów, puściliśmy się już o 6 rano w dalszą drogę, a więc ową linią kolejową ku północy, która nas miała zawieźć do Parany. Jest to nowa część owej linii. Przebywa piękne góry, nastręcza ładne widoki, a potem posuwa się przez wielkie, żyzne stepy, na których się pasą stada bydła i koni, koło których nierzadko spacerują tamtejsze strusie. Ponieważ w Passo Fundo, dokąd nas kolej wieczorem dowieźć miała, wypadłoby nam 3 dni czekać, więc postanowiliśmy te 3 dni obrócić na zwiedzenie polskiej kolonii Ijuhy, położonej w tych stronach. Dlatego w miasteczku Cruz Alta przerywamy w południe podróż, aby stąd pojechać zwiedzić tę kolonię. (Dokończenie nastąpi).

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

(Dokończenie).

List ks. Witaszka z Hildesheim, 12 września 1911.

Aby zadosyć uczynić poleceniu ks. Wizytatora, bym napisał dalsze sprawozdanie, w krótkości przebiegnę czas upłyniony. Żeby się nie powtarzać, zaznaczę na początku porządek, jakiego się trzymałem przy poszczególnych pastoracyach. Jeżeli pastoracya przypadła na niedzielę lub święto, to spowiedź rozpoczęła się wieczorem dnia poprzedniego i ciągnęła się w noc, aż wszyscy się wyspowiadali. W niedzielę rano o godz. 5 lub 5½ zaczynała się dalsza spowiedź. O godz. 7 miałem zwyczajnie mszę św., a po sumie kazanie; następnie poświęcałem cudowne medaliki, różańce i przyjmowałem do szkaplerza. Potem dalsza spowiedź, aż się wyspowiadał każdy, kto chciał. Trwało to nieraz do drugiej lub trzeciej; potem obiad. Wieczorem zjawiali się niedobitki, którzy potem po północy Komunię św. przyjmowali. Medaliki cudowne rozdawałem każdemu przy spowiedzi, a po kazaniu tym, którzy jeszcze nie otrzymali, a tym sposobem wyszli na jaw ci, którzy się od spowiedzi usunąć chcieli, bo i takich rybek było dosyć. Po południu miewałem nabożeństwo tylko wtedy, gdy znaczniejsza liczba Polaków była w miejscu, bo którzy byli z dalszych stron, spieszyli zaraz po rannem nabożeństwie do domu.

Gdy pastoracya przypadła na dzień powszedni, urządzałem w sposób następujący: gdy się zeszła większa liczba Polaków, miałem przygotowanie do spowiedzi, potem słucha-

łem spowiedzi, a po północy Komunia św. i poświęcanie dewocyonaliów; chyba, że mogli przyjść rano na msze św.; to wtedy przystępowali do Komunii św.

W naukach brałem za przedmiot przedewszystkiem miejscowe potrzeby i braki. Główną wadą zewnętrzną naszych wychodźców, to brak uczęszczania na msze św. w niedziele i święta. Rzecz nie do uwierzenia, jak nasi Polacy w tym względzie tu na obczyźnie uchybiają; kościół nieraz zaledwo, kilka kroków, a oni ledwo kilka razy w roku doń idą; a byli i tacy, którzy jeszcze nigdy nie byli w kościele, pierwszy raz dopiero teraz, gdy polski ksiądz przybył. Najpospolitszą wymówką to zdanie: „Ja nie rozumiem kazania“, lub: „Ja nie rozumiem nic, bo tu śpiewają po niemiecku“. A właściwą przyczyną jest to, że w domu szli za prądem, który dążył do kościoła, a teraz iść trzeba z własnej inicyatywy i pokonać nieraz wzgląd ludzki. Pięknem bodźcem do uczęszczania na msze św. była praktyka niektórych proboszczów z Królestwa, (która niestety już teraz ustała), że każdemu emigrantowi dawali kartkę z adresem swoim, z nazwiskiem emigranta i bliższemi wiadomościami o nim, dla informacyi tamtejszego proboszcza. Kartkę tę zanosił każdy z emigrantów osobiście proboszczowi, gdzie osiadł, a po powrocie odbierał tę kartkę z krótkiem świadectwem o prowadzeniu się.

A teraz po kolei przejdę miejscowości, w których byłem.

W czwartek 10 sierpnia udałem się do Dingelbe, położonego w okolicy Hildesheim. Wieś ta prawie zupełnie jest katolicką, jak wogóle wszystkie wsie w okolicy Hildesheim, w liczbie 40. Hildesheim bowiem z okolicą stanowiły do r. 1803 księstwo pod rządami biskupów hildesheimskich, trudno więc było protestantyzmowi rozciągnąć tu swe panowanie. W Dingelbe miałem bardzo mało pracy, bo przyszło tylko 39. Przyczyną tego było, że ks. proboszcz tutejszy i dziekan ogłosił tylko w swej parafii, pomijając sąsiednie. Zeszłego roku zaszedł tu wypadek zabójstwa. W karczmie wojował

galicyanin z królewiakiem o pierwszeństwo. Jeden z obecnych Polaków przystąpił do nich, by ich uspokoić i pogodzić. Wtedy jeden z wojownikow pchnął mu nóż w gardło, tak że ten w drodze do domu umarł.

Powracając z Dingelbe spotkałem na dworcu w Garbolzum, gdzie miałem wsiąść na pociąg do Hildesheim, dwoje Polaków z Garmissen Włodarz tamtejszy, Niemiec, sprzedawał swoim robotnikom zepsute materyały spożywcze, z czego wielu zachorowało. Ofiarą padł i ten mężczyzna, którego żona teraz odwoziła do szpitala św. Bernwarda w Hildesheim. Przyłączyłem się do nich i zaprowadziłem do szpitala. Po kilku dniach odwiedziłem chorego; miał się znacznie lepiej i była nadzieja zupełnego powrotu do zdrowia. Włodarza aresztował żandarm.

W sobotę 12 sierpnia pojechałem do Schladen pod górami Herceńskiemi. Miałem tu obfitsze żniwo, niż w poprzedniej miejscowości. W sobotę wieczorem i w niedzielę wyspowiadało się 220. Byłoby ich więcej jeszcze, tylko ks. Paszyna uszczuplił liczbę, bo tydzień temu wyspowiadał 70, którzy mieli przystąpić do Sakr. Bierzmowania. Po skończeniu nabożeństwa zgłosił się na probostwo niejaki Władysław Kamlarczyk, rodem z Królestwa. Ojciec jego i matka byli Polakami, katolikami. Gdy jednak ojciec przyjęty został do służby żandarmeryi rosyjskiej, przeszedł na prawosławie, a dzieci dał ochrzcić w cerkwi schizmatyckiej. I Władysława ten los spotkał, że stał się schizmatykiem, mimo protestu matki, która jednak dzieci po katolicku wychowała. W roku ubiegłym, chcąc się ożenić z Polką, prosił proboszcza polskiego, by mógł być przyjęty na łono Kościoła katolickiego i zawrzeć ślub w polskim kościele Proboszcz tego uczynić nie chciał dla nieznanych mi bliżej powodów: odmówił im nawet ślubu katolickiego. Poszli więc do popa schizmatyckiego i w cerkwi ślub zawarli. Po ślubie zaraz w styczniu tego roku wyjechali do Prus i nie myślą już wracać do kraju. Gdy więc teraz przyjechał polski ksiądz, przyszli z prośbą, żeby mu pomódz przejść na katolicyzm. Przeko-

nałem się, że tego szczerze pragnie, a zresztą był po katolicku wychowany. Po powrocie do Hildesheim przedstawiłem tę sprawę ks. Biskupowi. Ks. Biskup dał mi władzę przyjęcia go do Kościoła katolickiego; polecił, bym go ochrzcił *sub condicione* i aby ponowili konsens małżeński, dla dokonania tego, przyjadą oboje do Hildesheim 21 lub 23 września.

W poniedziałek zaraz udałem się do Liebenburg, miejsca kuracyjnego dla Hildesheimczyków, by tam być na uroczystości Wniebowzięcia Matki Boskiej. Pojechałem wspaniałem powozem p. Breustedta ze Schladen, katolika, który ma 400 morgów roli, hoduje nasiona buraków i rozmaitych jarzyn. W Liebenburg, na wysokiej, lesistej górze znajduje się prześliczny gmach, dawniejsza własność biskupów hildesheimskich. Połowę tego gmachu stanowiła kaplica biskupia, a dziś to kościół katolicki, drugą połowę zajmowały mieszkania biskupie, a dziś mieści się tam sąd powiatowy i więzienie. Tak wiec potrafił rząd pruski złożyć pod jednym dachem kościół, sąd i więzienie. Mieszkanie proboszcza znajduje się daleko u stóp góry. W uroczystość Wniebowzięcia Matki Boskiej kościół napełniony był Polakami, bo zgromadzili się oprócz miejscowych jeszcze z Schladen i Salzgitter, gdzie już byłem poprzednio. Do Sakramentów przystąpiło 120. Mimo próśb zacnego proboszcza i matki jego, bym tu przez kilka dni wypoczął w miejscu kuracyjnem, musiałem zaraz w środę wrócić do Hildesheim, by w czwartek udać się do Achtum, 3 km. oddalonego. Szedłem piechotą. Po drodze podziwiałem te prześliczne szosy w prowincyi hanowerskiej. Prawie wszystkie są brukowane kamieniami kostkowymi o bokach mniejwięcej 10 centymentrowych. Po bokach szosy posadzone są w odległości 6 m. drzewa owocowe, które przynoszą rządowi ogromny dochód, np. z tych 5 km. zebrał rząd za wydzierżawienie w r. 1910, 3000 M. Widać, że opłacają się dobrze, bo często można napotkać ich całe szeregi posadzone nawet na wałach toru kolejowego. — W Achtum przystąpiło do Sakramentów św. osób 68.

W sobotę 19 sierpnia rozpocząłem pastoracyę w Uelzen, 130 km. na północ od Hildesheim. Na tę placówką cieszyłem się już od dawna, bo miałem, tu sposobność przypatrzenia się pięknościom puszczy „Lüneburger Heide“. Już od Lehrte ciągnie się równina, której okiem przejrzeć niepodobna, pokryta prześlicznym dywanem drobnych kwiatów czerwonych i fioletowych, zwanych Heidekraut, na którym jakby piramidy rosną duże jałowce. Miejcami znów ciągną się ogromne lasy szpilkowe lub liściaste, okolone rzędami białych brzóz. Szalonym pędem nosił nas pociąg pospieszny, aż wreszcie stanął w Uelzen, które jest jakby oazą wśród tej puszczy. Parafia Uelzen liczy około 700 dusz rozprószonych na przestrzeni 120 mil². Polaków tutaj bardzo dużo, bo podobno koło 700, do których zaliczeni są także Polacy protestanci. Rusinów tu około 300 dusz. Jeżeli wszędzie na obczyźnie zagraża naszym młodym wychodźcom zepsucie moralne, to tutaj w szczególniejszy sposób. Niema tutaj bowiem żadnych folwarków, gdzieby razem znajdowało się kilku dziesięciu Polaków, lecz rozprószeni są po kilku zaledwo na mniejszych gospodarstwach wśród protestantów, a przytem do kościoła ogromnie daleko, tak, że nigdy albo zaledwie kilka razy do roku na msze św. przybyć mogą. Ztąd zepsucie tutaj, jak mówił ks. proboszcz, straszne. W jego parafii jest rocznie około 20 dzieci nieślubnych. Największe niebezpieczeństwo zagraża tu dziewczętom ze Ślązka i Poznańskiego, bo umieją po niemiecku i chodzą przystojnie ubrane. Dzięki Bogu, dowiedziałem się, że na przyszły rok nie przybędą tu dziewczęta ze Ślązka i z Poznańskiego, bo im się już przejadły Prusy, a zresztą gospodarze ich nie chcą, bo są „za mądre“ i nie pozwolą sobie na wyzysk i złe obchodzenie się ze strony gospodarzy; dlatego wolą, jak mówią „die dummen Galizier und Russen“. A wyzyskują tu haniebnie, np.: dziewczętom ze Ślązka i Poznańskiego, płacą dziennie z wiktem 1.10 m., — z Galicyi i z Królestwa tylko 80 fen. A gdy przyjdzie robota na akord obciągają im 50 fen. na mordze. Widać stąd, jak koniecznem

jest zorganizowanie naszego wychodźctwa i ujęcie go w polskie ręce. Dotąd wychodźctwo nasze odbywa się w ten sposób: albo włodarze poszczególnych folwarków werbują dla siebie robotników, otrzymując od pana od 3 do 20 Mk. od osoby, albo też Zentrale für Feldarbeiter z siedzibą w głównych miastach poszczególnych prowincyi gromadzi robotników przez agentów, głównie żydów, za wynagrodzeniem podobno 10 M. od osoby, a następnie rozrzuca po kraju. Wobec takich stosunków jasną jest rzeczą, że nikt nie troszczy się o biednych wychodźców, nie ujmnie się za nimi. Czytałem w „Germanii“ w tych dniach o ogromnej liczbie Polaków rzuconych jakby w paszczę wilka: Polaków z Królestwa około 380.000, z Galicyi 200.000; nie licząc tych ogromnych zastępów Polaków z Poznańskiego i ze Ślązka, którzy pracują po kopalniach, cegielniach, urzędach pocztowych i kolejowych.

W niedzielę zgromadzili się Polacy ze wszystkich stron. Niektórzy odbyli piechotą drogę kilkogodzinną, inni zjechali pociągami. Wyspowiadało się wszystkich 440.

W następną sobotę 26 sierpnia pojechałem jeszcze dalej na północ do Lüneburg, gdzie takie same stosunki panuja, jak w Ülzen, z tą różnicą, że parafia tu obszerniejsza, bo obejmuje 200 mil², a najdalsza miejszowość odległa jest od kościoła 120 km. Tutaj wyspowiadało się 230. Pod względem moralnym bardzo tu smutno, także wśród Polaków. Ks. wikary pokazywał całe szeregi mieszanych małżeństw Polek z protestantami, które brały ślub w kościele katolickim, a kto wie, ile ich jest, co brały ślub protestancki? Z powodu zbyt szczupłej plebanii, zamieszkać musiałem w „Kommunikatenanstalt“, pod zarządem Sióstr Wincentek. Takich zakładów jest tu w prowincyi 3 utrzymywanych głównie ze zapomogi Stow. św. Bonifacego, a mają zadanie przyjmować dzieci z odległych miejscowości i przygotowywać je do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Zakład w Lünburg liczy 50—70 dzieci.

W czwartek 31 sierpnia pojechałem do Westfeld, na południe od Hildesheim położonego. Wyspowiadało się 48 osób. W sobotę zaś pojechałem do Wunstorf, 60 km. na północ od Hildesheim. Niema tutaj stałego księdza dojeżdża tylko ksiądz co niedziela z Neustadt. Zamieszkałem więc w hotelu, którego właścicielem jest były Polak, protestat, „Leszczinsky". W pracy dopomógł mi tutaj ks. Hoffmann z Poznańskiego, którego uzyskał ks. biskup hildesheimski od ks. bisk. Likowskiego dla Polaków, pracujących przy budowie kanału. U ks. Hoffmanna było już przedtem wielu do spowiedzi, dla mnie pozostało tylko 87.

W niedzielę po południu pojechałem do Neustadt am Rübenberge, połołożonego jak Uelzen wśród puszczy. Tutaj około 150 Polaków zajętych jest kopaniem torfu, a 50 zajętych jest we folwarkach. Do spowiedzi przystąpiło tylko 68. Czekałem jak rybak, czekałem do wtorku, lecz nic więcej nie ułowiłem. Posyłałem do nich robotników, bo sam iść nie mogłem z powodu bólu nogi, lecz nie przyszli.

We wtorek 5 września pojechałem jeszcze dalej na północ, jeszcze dalej w głąb puszczy do Nienburg. Prześliczne to miasteczko. Domki tu wszystkie gustowne, stylowe, i o zadziwiającej rozmaitości, bo tutaj jest wyższa szkoła murarska i ciesielska, sadzą się więc jak mogą. W Nienburgu przystąpiło do Sakramentów św. 102 osób. Oprócz tego wyspowiadałem w domu i zaniosłem Komunię św. dwom słabym mężatkom, których mężowie pracują we fabryce szkła.

W czwartek 7 września udałem się do Hohenhameln, niedaleko Hildesheimu, gdzie pozostałem przez uroczystość Narodzenia Matki Boskiej. Do spowiedzi św. przystąpiło tutaj 101. Wielu Polaków w tej parafii było u Sakramentów św. w Peine, gdzie pracował ks. Paszyna w lipcu. — Zaszedł tu wypadek zazaz w drugi dzień po przyjeździe Polaków. Dwóch mężczyzn spało na strychu nad kuchnią, gdzie było ognisko do gotowania dla Polaków Idąc na spoczynek

pozatykali wszystkie otwory, by ciepło zatrzymać. I tym sposobem się zaczadzili.

Z Hohenhameln miałem się udać do Borum oddalonego 1½ godz. piechotą. Ponieważ tu trudno o furmankę, a bałem się nogę nadwyrężyć, musiałem koleją okrążyć, jadąc do Hildesheimu, a potem znów w górę. W Botrnm byłem przez niedzielę do poniedziałku, gdzie wyspowiadało się 145 osób, przeważnie mężczyzn z Poznańskiego, zajętych we fabrykach sztucznych nawozów.

Hildesheim, 12 października 1911.

Dnia 12 września pojechałem do Bockenem. Misya tu nie była początkowo w planie, bo Polaków tamtejszych spowiadał dotąd zawsze jeden z OO. Franciszkanów z Ottbergen, umiejący po polsku. W tym roku zaś zwrócił się ks. dziekan z Bockenem do mnie, czybym nie zechciał podjąć się pracy nad Polakami, w jego parfii, których liczba wynosi 78. Przyjąłem propozycyą i pojechałem we wtorek 12 września po południu. Pociąg, którym jechałem wiózł kilkaset dzieci szkolnych, które wracały z manewrów wojskowych. Z całej bowiem okolicy dzieci szkolne z nauczycielami już od godz. 4 rano były na placu boju, gdzie dostały kilku wojskowych za przewodników i tłómaczów. Rząd chce widocznie zaszczepić już dzieciom swego ducha wojskowego. Tem tłómaczy się także to, że w ostatnich czasach, na pierwszym planie nauk szkolnych jest gimnastyka. Rząd nakazuje nawet po wsiach budować hale gimnastyczne, co wywołuje niemałe narzekanie w gminach. W Beckenem zastałem wieczorem w kościele 21 Polaków, reszty spodziewałem się rano dnia następnego, — lecz napróżno. Posłańcowi odpowiedzieli, że nie przyjdą, że wyspowiądają się w domu u swojego księdza. Wszyscy Polacy tu pracujący pochodzą z okolic Częstochowy, znać, że spowszedniały im Sakramenta św., a nawet msza św., bo wielu z nich nigdy nie było w kościele, a inni ledwo kilka razy, choć mają blizko, bo ledwie 10 lub 20 minut drogi.

Z Bockenem pojechałem do Bavenstedt, 3 km. oddalonego od Hildesheim. Tutaj wszyscy przystąpili do Sakramentów św., w liczbie 36. Niektórzy nawet byli kilka razy u spowiedzi św. w Hildesheim.

Stąd poszedłem o 13 km. dalej do Bettmar. W drodze spotkałem naszych robotników, wracających z pola. Siedzieli na wozie, śpiewając pieśni do Matki Boskiej, a każda z dziewcząt zajęta była robieniem pończochy. Do Sakramentów św. przystąpili także wszyscy, w liczbie 28. Ks. proboszcz tutejszy jest bardzo zamiłowanym ogrodnikiem. Całe podwórze przed domem zastawione jest palmami ogromnych rozmiarów, kaktusami, dracenami i t. p. W ogrodzie wystawił dwie ogromne oranżerye, parą ogrzewane, gdzie na wielką skale hoduje kwiaty wazonikowe i pomidory, — pomidory bowiem tutaj nie dojrzewają na polu, z powodu nizkiej temperatury. Wszystko to ks. proboszcz własnemi uprawia rękami w wolnych chwilach, których mu nie brak, bo parafia jego obejmuje tylko tę jedną wioskę, liczącą około 400 dusz. W sobotę 16 września pojechałem do Göttingen, a pojechałem z pewnem uprzedzeniem, bo już niejednokrotnie dolatywały mnie domyślniki o nieprzychylnem usposobieniu tamtejszego proboszcza do polskich księży Przekonałem się jednak, że on nie jest bynajmniej nieprzychylny, ale, że siedzi w nim urzędowy i sztywny charakter prusaka. Na dworzec przybył po mnie osobiście. Zaraz po przybyciu na plebanii tonem dyktatorskim wygłosił porządek pastoracyi, wykluczając stanowczo słuchania spowiedzi w nocy, przyjmowanie ludzi w kościele, i zalecił mi punktualnie stawiać się do stołu. Te wszystkie zalecenia zastałem jeszcze spisane na ścienie, zawieszone w mieszkaniu. Mimo swego dziwnego usposobienia i braku serdeczności dla gości, jest on bardzo gorliwym kapłanem i przychylnym naszym robotnikom. Pokazuje się to także stąd, że niemogąc się od ks. biskupa doczekać polskiego księdza, sam w czerwcu zwrócił się do ks Kosuckiego z Wilna, będącego na studyach we Fryburgu, by jadąc na wakacye do kraju wstąpił

do Göttingen na kilka dni i pospowiadał w jego parafii. Ks. Kosucki przyjął tę propozycyę i zatrzymał się tu przez cały tydzień Polaków jest w tej parafii 997, rozprószonych po 35 miejscowościach, położonych w 2 powiatach, Göttingen i Uslar. W niedzielę kościół był zapełniony Polakami. Do spowiedzi św. przystąpiło jennak tylko 209, bo pracodawcy nie chcieli ich puścić we dnie, a nocna pastoracya była z góry zabroniona. Oprócz sezonowych robotników polnych znajhuje się w Göttingen jeszcze kilka rodzin polskich stale osiadłych; są to przeważnie rodziny niższych urzędników kolejowych.

W środę pojechałem do Lamspringe. Polaków w tej parafii i w przyległych miejscowościach, położonych już w margrabstwie brunszwickim jest około 140. Z powodu więc niewielkiej liczby postanowiłem pozostać tu tylko jedną noc, a dnia następnego, w czwartek powrócić do Hildesheim, dokąd zjechać miał ze Schladen Władysław Kamlarczyk schizmatyk, z żoną katoliczką, by złożyć wyznanie wiary i przejść na łono Kościoła. Tymczasem ks. proboszcz rozłożył mi pracę na wszystkie dni aż do soboty rano. Natychmiast rozpisąliśmy na wszystkie strony, zawiadamiając że polski ksiądz będzie tylko do piątku rano. Do dwóch miejscowości pojechałem koleją osobiście do Clus i do Altgandersheim, bo dowiedziałem się od księdza proboszcza smutnych rzeczy o Polakach tamtejszych; że bardzo niedbale uczęszczaję do kościoła, że wielki tam upadek pod względem moralnym Było tam nawet jedno dzikie stadło małżeńskie. Jedną grupę robotników zastałem w polu przy wywybieraniu ziemiaków. Tu dowiedziałem się od włodarza, że owi dzici sądownie zostali rozpędzeni i ukarani jednodniowem więzieniem, że zresztą nie mają się już ku sobie, bo dziecko, które porodziła było potworem o ogromnej głowie i pyszczku prosięcia. Szczęście, że po czterech dniach umarło. Gdy tak rozmawiałem z ludźmi przyjechał dzierżawca protestant, który obydwa te dwory dzierżawi: Clus i Altgandersheim. Poprosiłem go o uwolnienie ludzi na pół

dnia od pracy, by mogli pójść do spowiedzi św. Mogli więc stawić się wszyscy, przyszło ich tymczasem tylko 36, zamiast 52. W drodze napotkałem tu dwa piękne kościoły katolickie. Jeden z nich zamknięty, opuszczony zupełnie; drugi zamieniony na skład rupieci folwarcznych. Opowiadano mi że dawniej w kościele tym trzymano woły, lecz wszystkie wyginęły, późntej zamieniono go na owczarnię, lecz i te pozdychały, teraz rzucają doń rupieci.

Między inemi opowiadali mi Polacy w tej parfii, że z nimi zaczęto się źle obchodzić, lecz wnet robotnicy naunauczyłi swych panów trochę bardziej ludzkiego postępowania. W Gandersheim naprzykład, gdy razu pewnego pan obił jednego chłopca, natychmiast wszyscy robotnicy rzucili narzędzia i odeszli z pola Musiał więc pan upać się z prośbą do nich i przyrzec, że zaprzestanie takiego postępowania. W Lamspringe zaś sam włodarz, uczciwy jakiś człek, z Królestwa, ujął się za ludźmi kilka razy, których pan często bił i kopał, a gdy to nie skutkowało, wypowiedział służbę i to pomogło

W czwartek rano pojechałem do Hildesheim, by dokonać aktu przyjęcia na katolicyzm Wł. Kamlarczyka. Z polecenia ks. biskupa udzieliłem mu po złożeniu aktu wyznania wiary, chrztu św. *sub condicione*, wysłuchałem spowiedzi i udzieliłem Komunii św, a następnie oboje małżonkowie odnowili konsens małżeński wobec dwóch świadków.

Po południu wróciłem znów do Lamspringe by w nocy z czwartku na piątek dokończyć pracy. Wszystkich przystąpiło tu do Sakramentów św. 114. W piątek po południu pojechałem do Harsum. Początkowo była tu zapowiedziana pastoracya na tydzień następny, lecz dzierżawca folwarku, protestant, napisał do mnie list z prośbą, bym przyspieszył mój przyjazd, bo w następnym tygodniu rozpocznie wyrywanie buraków, trudno mu więc będzie wtedy uwolnić robotników. Pojechałem więc z Lamspringe wprost do Harsum i stanąłem tam o godzinie pół do czwartej po południu. Polacy byli już zgromadzeni w kościele. Postanowiłem więc

dziś dokończyć wszystkiego i wrócić o godzinie 8 wieczorem do Hildesheim, by mieć spokojną noc na wypoczynek. Tymczasem dowiaduję się, że w cegielni pracuje 5 polskich robotników, którzy dopiero wieczorem przyjdą do spowiedzi, a po północy przystąpić chcą do Komunii św. Zgodziłem się więc z tą myślą, że pozostać mi przyjdzie do soboty rano. Tymczasem inaczej się ułożyło. Jeszcze w czasie nauki przyszło 3 robotników z cegielni, bo popsuła się maszyna, tak, że nastąpić musiała przerwa w pracy o godz. 4, do godz. 9 dnia następnego. Mogli więc wszyscy zaraz przystąpić do spowiedzi, a rano do Komunii św. Dwóch robotników z cegielni nie przyszło do kościoła, bo pojechali niby za sprawunkami do Hildesheim. W sobotę po południu, 23 września pojechałem do Ruthe, wioski niedaleko miasta Hannover położonej. Polaków tutaj około 700, pracujących po folwarkach, odległych od kościoła do 2 godzin drogi. W maju była tu pastoracya polska, którą urządził ks. Synowiec z Poznańskiego. Spowiadałem w sobotę wieczorem do godz. pół do 12 i w niedzielę do pół do 2 po południu. Razem wyspowiadało się 230 osób. Po ukończeniu spowiedzi pojechałem zaraz via Hildesheim do Drezna na zjazd „Charitasverband'u", o czem już obszerniejsze sprawozdanie przesłałem ks. Wizytatorowi. Mogłem zaś ze spokojnem sumieniem opuścić Polaków w Ruthe, choć nie wszyscy się jeszcze wyspowiadali, bo tutejszy ks. proboszcz mówi dość po polsku i słucha spowiedzi po polsku. Choć liczy już lat około 50, uczy się jednak wciąż języka polzkiego. Gramatyka polska i słownik zawsze otwarte na biurku. „Quo vadis" całe przetłómaczył na niemieckie, a codziennie na głos czyta kilka stronic z polskiej książki. By lepiej poznać ducha polskiego języka, był dwa razy po kilka tygodni w Poznańskiem.

Powróciwszy z Drezna pojechałem do Misburg, 7 km. o Hannover położonego. Ludność tutejszą stanowią prawie wyłącznie robotnicy fabryczni, zajęci przy fabrykach cementu i żelaza. Na 6000 mieszkańców przypada około 3700 protestantów i 2300 katolików, wśród których jest około 2000

Polaków. Polacy zaczęli tu napływać od roku 1888 przeważnie z Poznańskiego i nieco także ze Ślązka. Z Królestwa i Galicyi jest ich bardzo niewielu, bo na podstawie prawa pruskiego nie wolno się osiedlać cudzoziemcom, lecz muszą po 15 grudnia opuszczać granicę państwa na kilka tygndni. Wprawdzie niejednokrotnie uda się prawo obejść, lecz osiedlić im się nie łatwo. Zarobek mają tu bardzo piękny, bo dochodzi dziennie do 6 marek, gdy pracują na akord. Pod względem moralnym uchodził Misburg do ostatnich czasów za gniazdo rozpusty i pijaństwa. Nie znaczy to, jakoby Polacy dawali tę smutną opinię miejscowości, gdyż protestanci ich w tem daleko wyprzedzają. Lecz wśród Polaków było smutno i jest jeszcze teraz nie najlepiej. Pijaństwo nawet wśród kobiet rozpowszechnione, a u mężczyzn na ustach ciągle, zdanie: „Muszę się napić, bo ciężko pracuję". Dawniej należeli wszyscy katolicy do kościoła w Hannover, dokąd rozumie się, rzadko uczęszczali, a wielu prawic nigdy. Dopiero od 13 mniej więcej lat zaczął tu dojeżdżać ks. ze mszą św. Lecz zaraz na początku przyszło do zatargów, między nim a Polakami. Polacy chcieli by odprawiano nabożeństwo w sali, którą oni zbudowali, ks zaś odprawiał w sali bliżej dworca położonego, wystawionej przez niemca. — Polacy chcieli spiewać po polsku, czego im ksiądz stanowczo zabronił. Polacy więc nie chodzili na nabożeństwa. Po kilku latach przystąpiono do budowy pięknej świątyni, którą sześć lat potem ukończono. A choć Polacy hojne datki składali na dom Boży, to jednak bardzo mało doń uczęszczali, bo proboszczem został ten właśnie ksiądz, z którym już od dawna wojowali. Opowiadano mi, że ksiądz ten chciał koniecznie wszystko zniemczyć. Założył między innemi stowarzyszenie „Katolików Männer verein", do którego gwałtem przeciągnął Polaków ze stowarzyszenia św. Wojciecha, które tu istniało już od r. 1891 i pięknie rozwijało, bo liczyło do 200 członków. Opowiaduno mi, że zabraniał dzieciom mówić w domu po polsku, nakazywał, by pacież mówiły po niemiecku etc. Zanoszono więc ciągłe

skargi do ks biskupa, aż wreszcie go usunięto w zeszłym roku. Obecny zaś proboszcz jest człowiekiem bardzo spokojnym i wziął sobie za zadanie jak mi mówił, nie wdawać się w żadną politykę, a starać się tylko o zbawienie dusz. Panuje więc w parafii spokój. Ks proboszcz nie umie ani słowa po polsku, ale zaprasza ks. Hoffmanna z Linden, by co miesiąc przyjeżdżał z polskiem nabożeństwem. Mogą więc Polacy spowiadać się po polsku, mogą wtedy śpiewać po polsku i słyszeć polskie kazanie. Oprócz tego podźwignął znów ks. Hoffmann stowarzyszenie św. Wojciecha, które się już chyliło ku padkowi; z 50 członków wzrosło do 150. „Do Misburga przyjechałem w sobotę po południu i pozostałem do czwartku. Pastoracyą urządziłem tutai w ten sposób, że codziennie rozpoczynałem spowiedź rano o 5 godzinie, a popołudniu o 6. W niedzielę miałem dwie nauki: pierwszą po sumie, drugą po nieszporach; w dni powszednie zaś urządziłem o godz. 8 wieczorem różaniec i błogosławieństwo, a potem naukę. Na nauki gromadziło się zawsze około 500 osób, między nimi prawie połowa mężczyzn. Byli to mniej więcej wszyscy, którzy się przyznają jeszcze do polskości, bo dzieci już z małymi wyjątkami nie rozumieją po polsku, a starsi w znacznej części uważają się za Niemców. Gdy np. po sumie wstąpiłem na ambonę, połowa prawie ludzi opuściła kościół, że niby nie rozumieją po polsku, a przecież Niemców katolików z dziećmi jest razem ledwo 300. W niedzielę, po nauce po południowej udałem się na zebranie Stowarzyszenia św. Wojciecha. Tam między innemi podałem ten wniosek, aby to czytanie nauki ze „Słowa Bożego“, które się odbywa na zebraniu, przenieśli do kościoła po sumie. Mogą więc po sumie zaśpiewa sobie polską pieśń, a następnie jeden z nich odczyta, bądź kazanie ze „Słowa Bożego“, bądź ustęp z książki. „Wykład wiary“ ks. Gawrońskiego, który im zostawistawiłem. Tym sposobem będą mogli korzystać nie tylko członkowie Stowarzyszenia, ale wszyscy Polacy, a tym sposobem Stowarzyszenie spełni piękną misyę. Zapewniłem, że o tem uwia-

domię ks. proboszcza, i że nie napotkają z jego strony najmniejszej przeszkody I rzeczywiście ks. proboszcz najchętniej na to się zgodził, a nawet przyrzekł, że tego sam pilnować będzie Powracając z zebrania, a było już ciemno 3 pijaków którzy podochoceni, taczając się śpiewali po polsku. Ubrania ich podarte brudne, znać, że wcale nie święcili niedzieli. Przyłączyłem się do nich i poszedłem do kasarni, gdzie mieszkali. Tam poprosiłem portyera, którym jest p. Heliński dobry polak by mi towarzyszył do kasarni, bo chciałbym zapowiedzić tutejszym robotnikom, że ksiądz polski przyjechał. Weszliśmy do ogromnego gmachu, trzypiętrowego, na każpem piętrze jest po kilkanaśrie pokoi, w których rozmieszczeni są robotnicy. Obchodziliśmy wszystkie pokoje Polaków. Pod ścianami ustawione są łóżka, jedno na drugiem w środku pokoju stół i ławki. — Pościel na łóżkach brudniejsza, niż sobie wyobrazić można, a przeważnie niema tam wcale pościeli, tylko jakiś łachman rozrzucony. Polacy częścią leżeli w ubraniach na łóżkach, częścią siedzieli za stołem, ale wszyscy prawie mniej lub więcej pijani. Wszyscy prawie byli w ubraniach roboczych, a choć w niedzielę nie pracują, z małymi tylko wyjątkami, nikt prawie z nich nie był w kościele, bo utarło się u nich zdanie: „kościół mi nie daje jeść ani ksiądz". Zapowiedziałem im, że zostanę do czwartku że codzień będzie sposobność do spowiedzi rano i wieczorem, że o godz. 8 będzie różaniec i polskie kazanie. Przyrzekli, że się stawią w kościele. Rzeczywiście dość licznie przychodzili na nauki, a wielu tnkże przystąpiło do Sakramentow św. — W ciągu tygodnia odwiedziłem kilka rodzin polskich. Między innemi poszedłem do pewnej staruszki, która z mężem mieszka aż na końcu wsi. Chciała się koniecznie widzieć ze mną. Nie chciała jednak przystąpić do spowiedzi, bo spowiada się bardzo dobrze po niemiecku, pragnęła tylko użalić się na swoje dwie córki, które wyszły za Polaków, lecz utraciły już zupełnie pełną wiarę; nie wierzą ani w Boga, nie chodzą do kościoła, ani do Sakramentów św. Byłem także u pana Maciejewskiego, ktory w Mis-

burgu założył Stowarzyszenie św. Wojciecha. Jako 18-letni młodzieniec przybył on tu dotąd z Poznańskiego i pracował w fabrzce cementu. Zapisał się zaraz do Stowarzyszenia św. Wojciecha w Hannowerze. Lecz po kilku miesiącach odłączył się z kilkoma towarzyszami i utworzył osobne stowarzyszenie w Misburgu. Dziś nie pracuje już we fabryce, bo kilka lat temu założył sklep z towarami mieszanymi i trudni się przytem oprawą obrazów i szkleniem okien. Do spowiedzi przystąpiło przez wszystkie dni 250. Liczba to nie wielka ale wielu spowiadało się u ks. Hoffmanna, a znaczna część spowiada także po niemiecku. W następną sobotę 7 października pojechałem do Hameln, gdzie już 30 lipca i przez dni następne pracował tu ks. Paszyna. Oróćz 600 mniej więcej robotników polnych sezonowych, jest jeszcze około 30 rodzin polskich, osiadłych bądź jako rzemieślnicy, bądź jako robotnicy fabryczni. W niedzielę stawili się Polacy bardzo licznie na msze św. i kazanie, lecz do Sakramentów św. przystąpiło tylko 200, bo z powodu wielkiej odległości od kościoła (parafia obejmuje cały powiat) nie mogli nocą odbyć drogi, a panowie zaś we dnie od roboty uwolnić ich nie chcieli. W Hameln jest także więzienie dla całej prowincyi. Jest tam także 20 Polaków, głównie za bójki. Istnieje tutaj szajka z czterech mężczyzn i 1 kobiety, trudnią się już od pół roku kradzieżą wieprzów w okolicy Ülzen. Udało się im ułowić 15 sztuk, aż wreszcie ich złowiono i odstawiono do Hameln. Chciałem odwiedzić tych więźniów polskich, a może i wyspowiadać, bo nie spowiadali się jeszcze we więzieniu, a niektórzy są tam już od kilku lat, lecz próżne były usiłowania, bo dyrektor p. Ganda z Prus wschodnich, zagorzały polakożerca, ani słyszeć nie chciał o tem, aby ksiądz polski miał przystęp do więźniów. Przy sposobności przedstawię tę sprawę ks. biskupowi, może uda się zaradzić temu na przyszłość. W następną sobotę pojadę do Wilhelmsburg, gdzie zatrzymać się mam przez dwa tygodnie, bo Polaków tam do 5000. Potem urządzę jeszcze dnia 29 października nabożeństwo dla Polaków w Hildesheim w ko-

ściele seminaryum biskupiego i na tem zakończę moją misyę w dyecezyi hildesheimskiej.

Hildesheim, 30 października 1911.

Dnia 14 października rozpocząłem pastoracyę we Wilhelmsburgu, która trwała do 26. Wilhemsburg to wyspa na dolnej Elbie, obejmująca 2240 hektarów; jednem korytem Elby odgraniczona jest od Hamburga, drugim od Harburga. Do ostatnich prawie czasów, leżał ten szmat ziemi odłogiem. Dopiero przed laty 20, zwrócono uwagę na korzystne warunki tej wyspy dla zbytu fabrycznych wyrobów, bo ze wszystkich stron łatwy jest przystęp do spławnej Elby. Skanalizowano część wyspy, otoczono wałem ochronnym przed powodzią, wytyczono ulice i zaczęto gorączkowo budować fabryki i mieszkania robotnicze. Urządzono tu także przystanek dla towarowych wagonów hamburskich; wystawiono cały szereg domów dla kolejarzy, a także niektóre firmy hamburskie urządziły tu swe biura pomocnicze. Z pomiędzy licznych fabryk szczególniejszą uwagę zwraca młyn ogromny, który samego cła od dowozu pszenicy zamorskiej płaci rocznie przeszło 10 milionów marek. Dla łatwiejszej kommunikacyi z Hamburgem wybudowano kosztem 31 milionów marek tunel pod Elbą, dłngości 300 metrów. Do tunelu prowadza z każdej strony podwójne schody i 4 windy, z których każda pomieścić może 200 osób lub parę koni z wozem.

Wilhelmsburg liczy obecnie przeszło 30.000 mieszkańców. Między nimi jest 7.500 katolików. Polaków podają na 5.500; choć zdaje się, że liczba ich jest daleko większa. Wiele rodzin z Poznańskiego i Górnego Ślązka przeniosło się tu na stały pobyt; wielka liczba mężczyzn żonatych, zostawiwszy żony w kraju szuka tu zarobku, oprócz tego wielu tu także chłopaków, których jednak z małymi wyjątkami nie widziałem, w kościele; także wiele bardzo dziewcząt pracuje we fabryce wełny lub śledziarni.

Duch polski znika tu bardzo wśród naszych wychodźców. Wielu dorosłych, szczególnie Ślązaków nie przyznaje

się już do polskiej narodowości, nie mówiąc już o dzieciach, które we wielkiej liczbie nie umieją po polsku ani słowa. Pod względem moralności upadek tu straszny. Bardzo źle oddziałują tu protestanci przez swe niedowiarstwo. I tak np. gdy kilka lat temu nałożono podatek kościelny, wynoszący ledwo kilka marek na rok, przeszło około 10 rodzin polskich na bezwyznaniowość. A iluż tu takich, którzy tylko z imienia katolikami, którzy do kościoła nigdy nie chodzą, a nawet publicznie miotają najstraszniejsze bluźnierstwa przeciw P. Bogu i Najświętszej Pannie? Wraz z niedowiarstwem idzie pijaństwo, któremu nawet kobiety licznie się oddają, i niemoralność. Niemoralność wśród młodzieży, a nawet żonatych tak się rozpowszechniła, że znikła tu prawie wszelka wstydliwość. Narzeczeni prawie z reguły mieszkają w jednej stancyi i z jednego mieszkania idą do ślubu. Muzyki i tańce odbywają się co niedziela; a w lecie jeszcze co środę we wszystkich szynkach, rozsianych po wszystkich ulicach.

Niedbalstwo w uczęszczaniu na msze św. w niedzielę i święta ogromne. Ledwo kika set dorosłych uczęszcza do kościoła. Mężczyźni bowiem odwykli od kościoła z powodu pracy obowiązkowej co drugą niedzielę; kobiety zaś tłumacząc się drobnemi dziećmi, których samych w domu zostawić nie mogą, a zatem nieraz cały rok nie idą do kościoła. Zresztą ci nasi biedacy nie mają tu także nic zewnętrznego, coby ich do kościoła pociągało. Wszystko bowiem po niemiecku; z pomiędzy trzech kapłanów tutejszych ks. proboszcz potrafi ledwo przeczytać ewangelię i od biedy wysłucha polskiej spowiedzi, lecz upomnienia i nauki przy konfesyonale już nie umie udzielić w polskim języku, gdyż niedawno dopiero zaczął się uczyć polskiego języka.

Polacy odczuwają tu ogromny brak polskiego kapłana i dlatego niejednokrotnie zanosili prośby do ks. biskupa w tym względzie. Utworzyli nawet komitet osobny, który przed kilku tygodniami wysłał nową prośbę do ks. biskupa z 2.200 podpisami. A gdy teraz 22 października był ks. bi-

skup w Wilhelmsburg na wizytacyi kanonicznej, udała się deputacya z naleganiem o polskiego kapłana. Ks. biskup dać im mógł tylko taką odpowiedź, że na stałe polskiego kapłana dać im nie może, bo w dyecezyt niema kapłana — polaka, — a z innych dyecezyi go nie otrzyma, lecz, że starać się będzie wszelkiemi siłami, aby przynajmniej co miesiąc mieć mogli polskiego kapłana wśród siebie, któryby wygłosił kazanie i mógł ich wyspowiadać. — Miał tu na uwadze ks. biskup to, że uda się z usilną prośbą do ks. Wizytatora w tym względzie. — Ta obietnica ks. biskupa uspokoiła nieco Polaków, bo było wśród nich wielkie rozgoryczenie, że tylu Polaków w parafii, a niema ani jednego polskiego księdza.

Widząc te smutne stosunki w Wilhelmsburg uważałem że nie wystarczy ograniczyć się tylko do konfesyonału, lecz że trzeba wpierw ludzi poruszyć; tem bardziej, że do wielkanocnej spowiedzi przystąpiło tylko 800, choć polski kapłan był tu przez dwa tygodnie. Ułożyłem się więc z ks. proboszczem, że będę miewał codziennie wieczorem o godz. 8 polski różantec z wystawieniem Najśw. Sakramentu, a potem naukę. Urządziłem więc nabożeństwo w poniedziałek, wtorek i środę pierwszego tygodnia i w poniedziałek i wtorek drugiego tygodnia; w czwartek, piątek i w sobotę urządzić tego nie mogłem, bo ks. proboszcz miał w tym czasie tryduum przygotowawcze na przyjęcie bierzmiowania. Na te nabożeństwa wieczorne Polacy bardzo licznie, jak na owe stosunki, przychodzili, a mężczyzn było zawsze do połowy. W pierwszy poniedziałek było ich mniej więcej do 700. Lecz o ile chętnie przychodzili na nauki, o tyle ociągali się z przygotowaniem do spowiedzi. W sobotę wieczorem wyspowiadało się ich zaledwie 30, w niedzielę, choć nas dwóch siedziało w konfesyonałe, bo przyjechał ks. Piotrowski z Czarnkowa w Poznańskiem na ślub swego brata, ledwo 70 przystąpiło do Sakramentów św.; w poniedziałek wyspowiadało się 27. Mimo nawoływań i dogodnej sposobności, bo siedziałem w konfesyonale rano od 5 godz., a wieczorem

od 6, ledwo 40 lub 50 dziennie przystępywało w pierwszym tygodniu do spowiedzi. Dopiero w sobotę wieczorem drugiego tygodnia ruszać się zaczęli, tak, że powstał natłok przy konfesyonale. Wyspowiadało się przeszło 1000. W ostatniej nauce zachęciłem do ślubowania od wódki; poklękali wszyscy. W niedzielę przyjąłem 2 nowe róże dziewcząt do bractwa różańcowego, które dotąd tylko 2 róże liczyło Włożyłem także znacznej liczbie szkaplerze karmelitańskie i rozdałem przeszło 1000 cudownych medalików. W pierwszą niedzielę poświęciłem sztandar żałobny dla towarzystwa św. Stanisława Biskupa, liczącego około 70 członków, a po połuduiu wziąłem udział w zebraniu tegoż towarzystwa. W drugą niedzielę byłem na zebraniu towarzystwa św. Józefa, do którego należy 70 mężczyzn.

Ukończywszy pracę we Wilhelmsburgu powróciłem do Hildesheim, by i tu na zakończenie urządzić pasloracyę dla Polaków, mieszkających w mieście i w okolicznych wsiach W Hildesheim jest dość znaczna liczba Polaków. Są to przeważnie niżsi urzędnicy kolejowi i pocztowi, także rzemieślnicy i robotnicy fabryczni. Mają nawet swoje osobne stowarzyszenie polskie pod opieką św. Bernwarda, które jednak o ile słyszałem, chyli się do upadku. Choć często bywałem w Hildesheim, to jednak nie miałem sposobności poznać całej Polonii i być na zebraniu stowarzyszenia, bo bywałem tu tylko w dni powszednie, gdzie każdy jest w pracy. Odwiedziłem tylko kilka rodzin polskich, zaglądałem do szpitali i spowiadałem tych, którzy się zgłosili do kościoła seminaryjnego. W sobotę zaś 28 b. m. rozpocząłemt u pastoracyę. Spowiadałem po południu od godz. 5, a w niedzielę od godz. pół do 6 rano. Mszę św. dla Polaków, a następnie kazanie miałem o godz. 9. Niewielka stosunkowo liczba się zeszła, bo tylko 60 przystąpiło do Sakramentów św., a na mszy św. było może około 70 Polaków.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

I. Fundacya ks. Biskupa Małachowskiego.

5.

Po szczęśliwem załatwieniu sprawy nabycia pałacu Wielopolskich udali się nasi księża w październiku na misye do Rudawy, należącej wówczas do ks. kanonika Małachowskiego, a w listopadzie do Babic. Potem pod wpływem licznych namów udał się ks. de Monteils z końcem listopada, czy też z początkiem grudnia 1688 do Laskowej, żeby oglądnąć tę posiadłość. Z nim razem pojechał ks. kan. Małachowski. Wieś bardzo im się spodobała, tak że ułożyli się dać za nią 70 tysięcy złp. Właściciele zjechali do Krakowa. Spisano formalny kontrakt, a ks. Małachowski podpisał go imieniem ks. biskupa, pomimo, że nie otrzymał od niego specyalnego mandatu. Biskup dowiedziawszy się o transakcyi bardzo był niezadowolony, że przekroczyli sumę pieniędzy, jaką był przyrzekł. Obiecał bowiem tylko 50 tysięcy. Żeby jednak zjednać sobie arcypasterza, udał się do ks. opata paradyskiego, który skorzystał z okazyi obiadu wydanego przez biskupa, żeby sprawę naszą poprzeć. W czasie uczty u ks. biskupa zbliżył się opat do biskupa warmińskiego ks. Zbąskiego, polecając mu sprawę Misyonarzy. Gdy już wesołość zapanowała wśród biesiadników, powstał biskup warmiński wnosząc zdrowie biskupa krakowskiego. Podniósł w toaście, że wzorem swoich poprzedników, którzy fundowali klasztory i zakony, on teraz funduje kapłanów oddających się nauczaniu kleru. Biskup ucieszył się tem uznaniem, a następnego dnia przyrzekł opatowi dodać jeszcze 10 tysięcy

złp. na rzecz domu Stradomskiego. Ks. wizytator poszedł z ks. de Monteils podziękować ks. Biskupowi za dar. Wkrótce też doszło do formalnego kupna wsi Laskowa, którą właściciele Ślepowroński i Ujejski sprzedali na imię ks. biskupa Jana Małachowskiego. Cesya na rzecz Misyonarzy nastąpiła w Warszawie roku następnego, 7-go kwietnia 1689. Biskup, pomimo, że od 6 tygodni nie wychodził z domu z powodu podagry, kazał się zawieść na Zamek i przed sądem ziemskim złożył przysięgę, że wsie: Laskową górną i dolną, Rospite i Porąbkę, leżące we województwie krakowskiem, obwodzie sądeckim, kupił, non in fraudem legis, 1635 (Vol. leg. III, 854—856), za własne pieniądze, i że je przekazuje na nową fundacyę (pro fundatione de nova radice) Zgromadzeniu księży Misyonarzy. Długi ciążące na tej wsi w sumie 31 tysięcy, biskup kazał zapisać w części na siebie — mianowicie wszystkie długi świeckie w sumie 20 tysięcy — inne zaś długi, na rzecz różnych kościołów i beneficyów, kazał zapisać jako dług tej wsi. Długi te spłacił ks. de Monteils na uroczystość Trzech Króli 1691. Wierzycielami byli przedewszystkiem kapituła krakowska, OO. Karmelici z Piasku i ks. Philippes.

W nowym domu naszym przysposobili Misyonarze wielką liczbę ordynandów do święceń. Wyższe święcenia przyjęło przeszło sześćdziesięciu. Było to dla Misyonarzy wielką pociechą, ale zarazem niemałym ciężarem z powodu wielkich wydatków. Dlatego myślał ks. de Monteils o drugim dziele, to jest o pomieszczeniu i utrzymaniu stałem dla gotujących się do święceń.

Ks. de Monteils udał się tymczasem na misye do Gdowa, a potem do Łososiny, do której należy Laskowa, jako do parafii. Wróciwszy zaś do Krakowa otrzymał wreszcie za pośrednictwem szlachcica Groszkiewicza, notaryusza kuryi warszawskiej, wypłatę zapisu po ś. p. Reginie Sroczyńskiej, wdowie po rybaku z Warszawy, która z przyjaźni dla ks. de Monteils zapisała mu 3.500 złp. — W tym czasie przybył do Krakowa ks. Philippes, oficyał z Wiślicy, wyjątkowo

nam przychylny. Gdy poszedł do biskupa i polecał sprawę Stradomia jego względom, zapytał biskup najpierw, czy zauważył, jakie to wiersze umieścił ks. de Monteils na marmurowej tablicy nad wejściem do domu Stradomskiego. Ks. de Monteils chciał w ten sposób wyrazić cześć dla ks. biskupa i ułożył łaciński dwuwiersz, który posłał wraz z innym wierszem, jaki otrzymał od prof. uniwersytetu krakowskiego p. Bierzanowskiego, do aprobaty ks. Generałowi.

Ks. Generał posłał w odpowiedzi inny na to wiersz, który biskupowi więcej się spodobał. Wiersz ten został wyryty na marmurowej tablicy złocistemi literami, a brzmi:

Has Clero plebique dicat Malachovius aedes
Sic studet aeternum Pastor adesse gregi.

Widocznie podobało się to biskupowi, jak widać z pytania wystosowanego do ks. prepozyta. Lecz co ważniejsza, dodał, że pomimo trudności chce jeszcze dać ks. de Monteils 30 tysięcy złp. na ordynandów, aby procenta z tej sumy szły na ich utrzymanie w czasie rekolekcyi.

W tym czasie urządzono na Stradomiu, w piwnicach nowego domu, browarek dla warzenia piwa. Dotąd bowiem trzeba je było kupować drogo, a nawet niekiedy z trudnością. Tymczasem posiadając własny browar mogli przygotować mniejszą lub większą ilość piwa, stosownie do ilości osób, jakie gościli u siebie w czasie rekolekcyi lub z innych okazyi. Stało się to pod nieobecność ks. de Monteils, który od września bawił na misyach, najpierw w Petrykowicach, należących do PP. Wizytek, z darowizny ks. biskupa Małachowskiego.

Potem pojechali do Jędrzejowa i Końskiej Woli i powrócili do domu dopiero w grudniu.

Z początkiem następnego roku 10-go stycznia 1690 dokupił ks. de Monteils kawałek gruntu nad Wisłą, obok dawniej posiadanego, zyskując ten sposób dostęp do rzeki.

Wtedy też udało się nareszcie uzyskać na rzecz Zgromadzenia cesyę gruntu, na którym obecnie stoi kościół Stra-

domski. Przybył w tym czasie na Stradom ks. kanonik Piotr Jordan na rekolekcye. Bardzo mu jednak w skupieniu przeszkadzał nieustannem kuciem kowal, posiadający w sąsiedztwie obok pałacu Wielopolskich dom wraz kuźnią. Ciągłe przytem niebezpieczeństwo pożaru zagrażało naszemu domowi. Kanonik więc kupił od kowala Alberta Olkuskiego tę realność, a następnie ustąpił jej naszemu Zgromadzeniu.

Chcąc uzyskać potwierdzenie sejmu dla dotychczasowych nabytków Domu Stradomskiego, udał się ks. de Monteils do Warszawy, gdzie właśnie odbywał się sejm od 16-go lutego do 22-go marca 1691. Nie uzyskał wszakże aprobacyi, bo sejm nie dopuszczał wogóle pod obrady spraw prywatnych. Dlatego nic nie sprawiwszy wrócił do domu i udał się na misye do Lipnicy, które zaczęto pod koniec maja; potem do Rajbrutu, Żegocina, Wianowic; w sierpniu do Skalmierza, w listopadzie do Tęgoborza. Pierwsze dwie trwały po dwa tygodnie; inne po trzy tygodnie.

6.

Teraz zwrócił się ks. de Monteils do drugiego dzieła: to jest do utrwalenia pracy nad ordynandami. Pragnął mianowicie wybudować wygodne pomieszczenie i zapewnić stałe dochody na ich utrzymanie. Zgromadzenie nasze oddziaływało w ten sposób bardzo korzystnie, udzielając gotującym się do święceń ćwiczeń duchownych wskazówek, jakich się mieli trzymać w swej pracy duszpasterskiej, a wreszcie przygotowali ich do najświętszego i najgorliwszego przyjęcia samychże święceń. Praca taka wywierała bardzo korzystny wpływ na dalsze postępowanie duchownych. Utrzymanie wszakże ordynandów, w tak wielkiej dyecezyi jak krakowska, pociągało za sobą znaczne wydatki. Tymczasem dochody z Laskowej nie mogły pokryć wydatków na ordynandów. Trzeba więc było znowu chodzić około zdobycia nowych kapitałów. Biskup, jak wyżej wspomnieliśmy, przyrzekł dać na ten cel 30 tysięcy złp. Gdy jednakże ks. de Mon-

teils po raz piewszy zwrócił się w towarzystwie ks. Nollet do biskupa w tej sprawie, ten nietylko nie okazał się przychylnym, lecz wprost nawet nie chciał słyszeć o nowych wydatkach.

W tymże czasie odbył się na Stradomiu konwent domowy, gdyż na lato roku 1792 zapowiedziano konwent generalny w Paryżu. Na konwent prowincyonalny wybrał się ks. de Monteils z ks. Janem O'Fogerty, jako deputatem do Warszawy. Ten skorzystał ze sposobności, aby przez życzliwego sobie opata z Paradyża polecić swe sprawy ks. biskupowi Małachowskiemu.

Przed Zielonem Świątkami zjechał ks. biskup do Krakowa, gdy właśnie ks. de Monteils bawił w Żywcu na misyach. Spotkawszy się z biskupem otrzymał rozkaz zaczęcia budowy domu dla ordynandów. W tymże roku dawali jeszcze misye w Nowym Targu, gdzie im pomagał O. Abrahamowicz, Jezuita.

Później zaś byli na misyach w Szczepanowie i w Wiśniczu, gdzie nawrócili dwóch Muzułmanów, jeńców wojennych. Wrócili do Krakowa przed Bożem Narodzeniem, na święcenia kleryków.

Tymczasem wskutek zmian dokonanych na konwencie, ks. de Monteils otrzymał mandat do Wilna. Ks. wizytator jednak pisał równocześnie, aby się wstrzymał z wyjazdem, gdyby ks. biskup tego sobie życzył. Rzeczywiście ks. biskup wstrzymał go i postanowił pisać do ks. Generała, żeby go zostawił aż do ukończenia fundacyi. Tak więc pozostał nadal na życzenie ks. biskupa i ks. Tarły.

Z wiosną 1693 rozpoczęto budowę domu ordynandów. Pierwsze trzy taczki ziemi przy kopaniu fundamentów wywiózł ks. de Monteils. Przy drugiej o mało, że nie upadł, wnioskował więc, że dzieło się powiedzie, pomimo pewnych trudności. Założono potężne fundamenta, dochodzące do 10 łokci głębokości, na trzy łokcie szerokie; doprowadzono je aż do wody. Dużo materyału budowlanego obrócono na nie. Materyał bowiem zbierał już ks. Godquin.

Sam ks. de Monteils mając przed siedmiu laty zamiar budować, zgromadził także obfity materyał. Poburzono zresztą różne niepotrzebne mury, by użyć materyału do nowej budowli. Pomimo budowy pojechali w maju na misye do Bolechowic, aby lud przysposobić do bierzmowania, a potem do Myślenic. Poza tem odprawiano jeszcze misye w Niegowici, a w następnym roku tylko w Dobrej.

W lecie 1693 rok postępowała budowa ciągle naprzód, pomimo dosyć szczupłych zasiłków ks. biskupa. Nie mógł bowiem na razie bardziej wspierać budowy, gdyż właśnie dał w tym czasie kapitule krakowskiej 130 tysięcy złp., to jest 100 tysięcy na anniwersarz za siebie, resztę zaś na koszta swego pogrzebu. Żył jeszcze lat sześć.

Ks. de Monteils spieszył się, by jak najprędzej dokończyć dzieło zaczęte, zanim go przełożeni na inne stanowisko nie poślą. Kupił więc dla zaokrąglenia gruntów stradomskich dwa kawałki: jeden od Maryanny Żywieckiej, drugi większy, ciągnący się z tyłu za pałacem Wielopolskich aż do obecnej ulicy św. Gertrudy i w stronę kamienic od ulicy Stradomskiej, nabył od OO. Miechowitów za cenę rocznego czynszu 100 złp. Sprawa wlokła się dosyć długo, gdyż było potrzeba konsensu przełożonych generalnych obu instytucyj i Stolicy św. Kontrakt został podpisany 15-go marca 1694, a biskup krakowski, jako delegat Stolicy św., potwierdził go 6-go czerwca 1695 roku. Czynsz ten, 100 złp., płacili Misyonarze przez długie lata; dopiero dnia 28-go października 1873 namiestnictwo lwowskie dokonało indemnizacyi tego czynszu.

Pod koniec listopada 1693 otrzymał ks. de Monteils ponowny mandat, lecz na starania biskupa pozostał jeszcze i teraz na Stradomiu. W lecie roku 1695 dom ordynandów był wzniesiony aż pod dach. Po konsekracyi kościoła PP. Wizytek 24-go czerwca 1695 roku przybył ks. biskup zobaczyć budowlę i dał nieco później nowy zasiłek pieniężny na cel ordynandów. Stanęło więc skrzydło od obecnej naszej furty aż do ogrodu.

W październiku opuścił ks. de Monteils stanowisko superyora na Stradomiu i udał się do Warszawy. Jego następcą został ks. Antoni Fabri.

7.

Najważniejszem jednak dziełem tego roku było uzyskanie aktu erekcyi domu stradomskiego od ks. biskupa Małachowskiego. W czase sejmu, jaki odbywał się od grudnia 1694 roku, pojechał ks. de Monteils do Warszawy, żeby uzyskać aprobatę. Ponieważ sejm został zerwany, postarał się przynajmniej o erekcyę domu, to jest o akt formalny i urzędowy, w którym ks. biskup krakowski przekazywał Misyonarzom na własność wszystkie majątki stradomskie, bez żadnych ścisłych ciężarów i obowiązków. Akt erekcyjny Księży Misyonarzy na Stradomiu został wydany przez ks. biskupa krakowskiego Jana Małachowskiego w Warszawie dnia 9-go lutego 1695. Został zaś oblakowany w grodzie krakowskim przez ks. Fabiana Cybulakowskiego, Misyonarza, dnia 16-go marca 1710 roku.

Ważny ten dokument spisany po łacinie, opiewa w przekładzie polskim, jak następuje:

„W Imię Pańskie, Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę.

„Jan na Małachowicach Małachowski, z Bożej i Stolicy Apostolskiej łaski Biskup Krakowski, książę Siewierski.

„Skoro tylko Opatrzność Boża z biskupstwa Chełmińskiego powołała nas do rządów rozległej dyecezyi krakowskiej, z wielką troskliwością dbaliśmy o to, aby — o ile można — wiernie wypełnić obowiązki urzędu naszego. Rozlicznemi jednak i nader ważnemi Rzeczypospolitej sprawami zajęci, nie mogąc się bezustannie oddawać pracy około uprawy winnicy naszej, tak, jakbyśmy tego pragnęli, uznaliśmy za rzecz dla nas i dla owieczek naszych wielce zbawienną, ku pomocy wybrać sobie nowych mężów apostolskich.

„A ponieważ Ojciec niebieski przysłał z Francyi do Polski kapłanów Zgromadzenia Misyi, już to celem kształcenia kleru w pobożności i w naukach, już to — za zgodą Ordynaryuszów — celem udzielania misyj po wsiach i miasteczkach, a Najjaśniejsza Ludwika Marya Gonzaga, pałając żarliwością o chwałę Boga i zbawienie swojego ludu, z wrodzonej sobie pobożności ową nową kolonię osadziła w Warszawie u świętego Krzyża — przeto osądziliśmy, że tem rychlej powinniśmy zawezwać wspomnianych kapłanów do rozległej dyecezyi naszej, im obfitsze widzieliśmy owoce, które wydawała ich praca w naszem biskupstwie Chełmińskie, dokąd niegdyś ich sprowadziliśmy — owoce tak w seminaryum jako i na misyach i w parafiach ich pieczy poruczonych.

„Ufając przeto w Panu, że ta nowa roślina, w nader żyznej dyecezyi naszej zasadzona, w przedziwny sposób przyczyni się do doskonałości kleru i do zbawienia biednych wieśniaków, za zgodą Prześwietnej Kapituły naszej krakowskiej, przed kilku laty powierzyliśmy rzeczonym kapłanom kierownictwo seminaryum na Zamku. Stąd to już wielu wyszło i po dziś dzień wielu wychodzi kapłanów, którzy przejęci pobożnością i przytem wzbogaceni we wszelaką potrzebną naukę, zawiadują różnemi dyecezyi naszej parafiami z największą przykładnością i zbudowaniem ludu.

„Nadto rzeczeni Misyonarze w czasie swojego pobytu w seminaryum na wielu miejscach odprawiwszy misye, swojemi kazaniami i przystępnemi naukami niemało tysięcy udz skłonili do prawdziwej pokuty. Otóż, ponieważ w tem życiu niczego nie pragniemy goręcej, jak tylko tego, aby chwała Boża z każdym dniem wzrastała, a kler nasz nabył odpowiedniej swojemu stanowi doskonałości, i lud wreszcie chrześcijański, zwłaszcza wieśniacy po wsiach i wioskach mieszkający, nie byli pozbawieni nauki o rzeczach niezbędnych do zbawienia, — Wielebni zaś księża Misyonarze, oddając się kierownictwu seminaryum naszego, bądź to, że dla braku robotników nie mogli ani odprawiać misyj, bądź też

że z przyczyny szczupłych zabudowań ani przyjmować gotujących się do święceń kleryków na rekolekcye, ani też innych, czy to kapłanów czy też cywilnych, na ćwiczenia duchowne, dlatego osądziliśmy za rzecz Bogu chwałę, a owieczkom naszym wielki pożytek przynoszącą, gdy im nowy w naszem mieście Krakowie wzniesiemy dom.

„Ci tedy kapłani z instytutu swojego od Świętej Stolicy zatwierdzonego, za zgodą naszą i następców naszych winni: 1) odprawiać misye po miasteczkach i wsiach naszej dyecezyi ; 2) przyjmować ordynandów na ćwiczenia duchowne przez osiem dni przed święceniami; 3) według chwalebnego zwyczaju Zgromadzenia swojego podejmować chętnie kapłanów i kleryków, jakoteż wszelkiego stanu osoby świeckie, na rekolekcye i niemi kierować.

„Aby się można rzetelnie wywiązać z tego zadania, potrzeba obszernych zabudowań. Dlatego nabyliśmy dla nich na Stradomiu naprzeciw Wielebnych OO. Bernardynów miejsce dość wygodne i obszerne, które kupiliśmy od Wielmożnego i Sławetnego Pana Franciszka na Zakliczynie Jordana, Podczaszego królewskiego, Dobczyckiego Starosty tudzież od Wielmożnego i Sławetnego Pana Jerzego Wandalina z Wielkich Kończyc Mniszcha, Sanockiego, Dębickiego, Szczyrzyckiego Starosty. Później do tego zostały dołączone dwa murowane stare domki, które w różnych czasach kupiliśmy od sukcesorów ś. p. zmarłego zacnego i Sławetnego Pawła Świerczkowicza, wice-adwokata Wadowickiego i obywatela miasta Kaźmierza — i od Przezacnej Jadwigi, niegdyś 1° voto żony Sławetnego Franciszka Zaur, ławnika i murarza Stradomskiego, 2° voto żony Sławetnego Jana Czechowskiego, obecnie wdowy. Wreszcie przyłączono pałac niegdyś Jaśnie Wielmożnego Pana Wielopolskiego, kanclerza królewskiego, przez nas zakupiony od Jaśnie Wielmożnego i Przezacnego Jana Wielopolskiego, hrabiego na Piaskowej Skale. Że zaś wyszczególnieni kapłani z instytutu swojego nikomu nie chcą być ciężarem na misyach, ale wszystkie posługi swoje za przykładem

Chrystusa i Apostołów darmo spełniają, bez żadnego wynagrodzenia i korzyści doczesnej, przeto też na przyzwoite rzeczonych robotników utrzymanie oraz i na opędzenie kosztów i wydatków misyj, które będą odprawiać w naszej dyecezyi, własne nasze dobra dziedziczne, to jest wsie Laskową Górną i Laskową Dolną, wioskę Rospite zwaną i Porąbkę, w księstwie Krakowskiem w obwodzie Sądeckim położoną, daliśmy, darowaliśmy i odstąpiliśmy im na wieczne czasy i tęż darowiznę w aktach sądu Grodzkiego Starostwa Warszawskiego w dniu Wielkiego Czwartku roku Pańskiego tysiącznego sześćsetnego ośmdziesiątego dziewiątego (1689), stosując się do ustaw prawa ogólnego, mianowicie: do konstytucyi Królestwa z roku tysiącznego sześćsetnego trzydziestego piątego (1635), opiewających: „O nowych fundacyach“, zatwierdziliśmy; wreszcie w aktach Grodzkich sądu własnego obwodu, Starostwa Sądeckiego, w środę po uroczystości św. Jakóba Apostoła w tymże roku to wpisać i na nich przenieść rozkazaliśmy.

„Tak więc Wielebny ksiądz Augustyn de Monteils, kapłan Zgromadzenia Misyi i Superyor domu Stradomskiego, osobiście stanął przed nami, a okazawszy w swojem i całego Zgromadzenia Misyi imieniu niektóre dokumenta: 1) Sprzedaży ziemi przez Wielmożnego i Sławetnego Pana Franciszka na Zakliczynie Jordana, Podczaszego królewskiego, Dobczyckiego Starosty, w sądzie Minoris Cancellariae. Działo się to we czwartek po niedzieli wielkopostnej „Laetare“, w roku tysiącznym sześćsetnym ośmdziesiątym trzecim. — 2) Sprzedaży ziemi przez Wielmożnego i Sławetnego Jerzego Wandalina z Wielkich Kończyc Mniszcha, Sanockiego, Dębickiego, Szczyrzyckiego Starosty. Działo się to na Zamku krakowskim w sobotę następną po uroczystości św Mateusza Apostoła i Ewangelisty, w roku Pańskim tysiącznym sześćsetnym ośmdziesiątym trzecim. — 3) Cesyi tychże posiadłości na rzecz Zgromadzenia Misyi. Działo się w Krakowie w piątek poprzedzający uroczystość św. Agnieszki Panny, w roku Pańskim tysiącznym sześć-

setnym ośmdziesiątym szóstym. — 4) Zakupna domu od sukcesorów ś. p. Zacnego i Sławetnego Pawła Świerczkowicza, wice-adwokata Wadowickiego i obywatela Kaźmierzowskiego. Działo się to w ratuszu Kaźmierskim w dniu dwudziestym maja, roku Pańskiego tysiącznego sześćsetnego ośmdziesiątego szóstego. — 5) Zakupna i cesyi domu murowanego, Zaurówką zwanego, przez Przezacną Jadwigę niegdyś 1° voto za Franciszkiem Zaur, ławnikiem i murarzem Stradomskim, poźniej 2° voto po sławetnym niegdyś Janie Czechowskim pozostałej wdowie. Działo się to w sądzie Wielkiej Prokuratoryi na Zamku krakowskim w poniedziałek następny po uroczystości Bożego Ciała, roku Pańskiego tysiącznego sześćsetnego ośmdziesiątego siódmego. — 6) Zakupna i cesyi pałacu Wielopolskich przez Jaśnie Wielmożnego i Przezacnego Jana Wielopolskiego, hrabiego na Piaskowej Skale. Działo się w urzędzie konsularnym Kaźmierzowskim w roku Pańskim tysiącznym sześćsetnym ośmdziesiątym ósmym, dnia dwudziestego sierpnia. — 7) Cesyi czyli darowizny wsi Laskowa Górna, Laskowa Dolna, wsi zwanej Rospite i Porąbki w księstwie krakowskiem w obwodzie Sądeckim. Działo się w zamku Warszawskim w dzień Wielkiego Czwartku, w roku Pańskim tysiącznym sześćsetnym ośmdziesiątym dziewiątym. — 8) Akt przyjęcia wymienionej fundacyi sporządzony przez Przewielebnego ks. Bartłomieja Tarło, Wizytatora domów Zgromadzenia Misyi w Polsce, tudzież przez Wielebnych Księży tegoż Zgromadzenia Misyi, — prosi, iżbyśmy na mocy zwykłej władzy naszej, jaka nam w tym względzie przysłuża, zechcieli przystąpić do zatwierdzenia tejże fundacyi i erekcyi domu Stradomskiego. A osnowa tego aktu przyjęcia tak brzmi:

„My niżej podpisani, Wizytator domów Zgromadzenia Misyi w Polsce i Superyor domu Stradomskiego i jego Zgromadzenia, po głębszej rozwadze, mając zakupione przez Imci Jaśnie Oświeconego Księcia Jana z Małachowic Małachowskiego, Biskupa Krakowskiego, Księcia Siewierskiego, na fundacyę domu naszego ziemię i budynki, tudzież otrzy-

mawszy w darze wieś Laskowa z wszystkiemi jej posiadłościami od tegoż Księcia na wieczne utrzymanie nasze, z tym obowiązkiem, żebyśmy za tę donacyę i fundacyę w nader rozległej dyecezyi Krakowskiej własnym kosztem po wszystkie czasy odprawiali Misye po wsiach i miasteczkach, to wszystko dobrze zbadawszy i roztrząsnąwszy, powyższą Jaśnie Oświeconego Księcia fundacyę przyjęliśmy z chęcią i z niezmiennem postanowieniem po wszystkie czasy wedle sił naszych z żarliwością apostolską wspierać Jego pobożne zamiary, a w dowód naszego poddaństwa oraz niewygasłej ku tak zacnemu Fundatorowi wdzięczności, niniejszy akt własnoręcznie podpisany pieczęcią Zgromadzenia naszego zaopatrzyliśmy.

„Działo się w Warszawie, dnia ósmego miesiąca lutego, roku Pańskiego tysiącznego sześćsetnego dziewięćdziesiątego piątego.

„Ks. Bartłomiej Tarło, Wizytator prowincyi polskiej Zgromadzenia Misyi i Superyor domu Warszawskiego tegoż Zgromadzenia, m. p.

„Ks. Augustyn de Monteils, kapłan Zgrmadzenia Misyi i Superyor domu Stradomskiego, m. p.“

„My przeto, Jan, Biskup Krakowski, obecnie zajęci publicznemi sprawami na jeneralnym sejmie Królestwa w Warszawie, obawiając się, iżbyśmy przypadkiem zaskoczeni śmiercią nie pozostawili tej naszej fundacyi i erekcyi nowego domu bez dopiętego skutku, uznaliśmy za rzecz właściwą, aby, zaniechawszy formalności prawa zwykłych w tego rodzaju erekcyach, przystąpić do samej erekcyi albo fundacyi domu Stradomskiego. Rzecz to tem właściwsza, że wymienieni kapłani Zgromadzenia Misyi na Stradomiu już od lat dziewięciu i więcej w spokojnem pozostają posiadaniu wszystkich majątków i wsi Laskowej, przez nas tymże kapłanom nadanej, a fundacye swoje, czy w domu, czy po wsiach i miasteczkach naszej dyecezyi, bez żadnego ociągania się wypełniają, i że przez tak długi przeciąg czasu nie

znalazł się nikt, którzyby do tej fundacyi naszej rościł sobie prawo, albo się w nią mieszał, i że aż do tej chwili tak w sądzie, jako i skądinąd żadnego sprzeciwiania się nie okazano. Bo też w tej erekcyi czyli fundacyi naszej niczego innego nie szukaliśmy, jeno chwały Bożej, doskonałości kleru, a ubogich wieśniaków po wsiach i miasteczkach zamieszkałych nauki i zbawienia; dlatego majątki przez nas kupione od Wielmożnych i Sławetnych P. P. Jordana i Mniszcha, domy murowane „Swierzchowicowska" i „Zaurowska" zwane i pałac od Jaśnie Wielmożnego niegdyś Jana Wielopolskiego, kanclerza królewskiego, nabyte, wreszcie wieś Laskową ze wszystkiemi posiadłościami i przynależnościami, domowi Stradomskiemu Zgromadzenia Misyi kapłanów, którzy są i w przyszłości będą, postanowiliśmy dać, darować, zapisać i ufundować; jakoż w rzeczywistości dajemy, darowujemy, zapisujemy i raz na zawsze tytułem nieodwołalnej darowizny naszej przyznajemy i fundujemy, a akta rzeczonych darowizn i zrzeczeń naszych, sporządzone na rzecz i korzyść wspomnianego domu Stradomskiego, we wszystkich w ogóle i w każdym poszczególnie punkcie, klauzuli, artykule i warunku uważaliśmy za właściwe pochwalić i zatwierdzić, jakoż pochwalamy i zatwierdzamy; a sameż dobra podciągamy pod prawo nienaruszalności i swobód kościelnych (immunitatis et libertatis ecclesiasticae) i takowe rzeczonemu domowi Stradomskiemu i Wielebnym Księżom Zgromadzenia Misyi tenże dom zamieszkującym przeznaczamy na posag i fundusz (pro dote et fundo).

„Ponieważ zaś wieś Laskowa, jako dobra ziemskie, podlega ciężarom wojennym, winna także ponosić ciężary dla Rzeczypospolitej, przeto chcemy, aby była wolną od wszystkich podatków na stanowiska obozowe i leże zimowe, jak również od wszelkich danin wojennych i kościelnych.

„Oprócz tego, ponieważ wieś Laskowa z trudnością mogłaby wystarczyć na przyzwoite wzmiankowanych kapła-

nów i ich Zgromadzenia utrzymanie, jako też na restauracyę domów i na różne, a wcale niemałe koszta, jakie pociągają za sobą misye, przeto niniejszym aktem naszym oświadczamy, że wymienieni kapłani mocą zapisu i donacyi wsi Laskowej, są obowiązani tylko do odprawiania misyj po wsiach i miasteczkach naszej dyecezyi po wszystkie czasy według instytutu swojego, a to za zgodą naszą i naszych następców.

„Również ze względu na wieś Laskową są obowiązani do przyjmowania kleryków na ćwiczenia duchowne przed święceniami, chyba, że my — jak to teraz uczyniliśmy — albo nasi następcy skądinąd obmyślą środki niezbędne do przyzwoitego utrzymania rzeczonych ordynandów.

„Mimo to chcemy, ażeby wyszczególnieni kapłani Zgromadzenia Misyi, skoro tylko będą mieć wygodny i odpowiedni budynek, przyjmowali, jak to chwalebnie czynią w innych domach swoich, młodszych naszej dyecezyi lewitów na mieszkanie, i tychże ćwiczyli w pobożności, w nauce i w innych obowiązkach kościelnych; ci zaś młodsi lewici za przyzwoite utrzymanie słuszną pensyę zapłacą.

„Mając tedy nadzieję w Panu, że wymienieni kapłani, żyjąc według Zgromadzenia swojego instytutu, ochoczo i sumiennie oddadzą się misyom i że we winnicy Chrysusowej okażą się niepoślednimi robotnikami i że tak w modlitwach jako i fundacyach swoich będą pamiętali o nas; całemu temu aktowi nadaliśmy moc wiecznie obowiązującą, tudzież powagą naszą Biskupią zatwierdzenie, jako i niniejszem przyznajemy i nadajemy.

„I ażeby w przyszłości nikt nie powstał przeciwko naszej woli, fundacyi, zatwierdzeniu i erekcyi, i ażeby nikt nie ośmielił się jakimkolwiekbądź sposobem sprzeciwiać się tejże, wzbraniamy i zakazujemy, a nawet, dla wszelkiego bezpieczeństwa i spokoju niniejszą naszą fundacyę, jak i wszystkie szczegóły w niej zawarte usilnie polecamy opiece Czcigodnych następców naszych.

„Na dowód wiarogodności własnoręcznym naszym i notaryusza naszego podpisem stwierdzamy i pieczęcią naszą zabezpieczamy.

„Dano w Warszawie, w pałacu naszym, dnia dziewiątego lutego, w roku Pańskim tysiącznym sześćsetnym dziewięćdziesiątym piątym.

(L. S.) † *Jan Małachowski*,

Biskup Krakowski, m. p.

„Z woli Jego Jaśnie Wielmożnej Wysokości niniejszy akt erekcyi podpisałem.

Jędrzej Aleksander Groszkiewicz,

apostolski i warszawski komisarz oraz niniejszego aktu notaryusz, m. p."

8.

Tak więc stanęło dzieło potężne, pomnik wielkiego serca biskupa, a zarazem pomnik kapłana-Misyonarza, który całą duszę w dzieło to włożył, pracując niestrudzenie, aby zdobyć dla Zgromadzenia trwały byt i podstawę do pracy w Krakowie. Tem zaś milszą jest pamięć tych ludzi, im piękniejsze są ich postacie w dziejach Kościoła.

Jakże wdzięczną jest ta postać rycerza, potem kapłana, nareszcie biskupa. Biskup Małachowski zostawił po sobie jasne wspomnienie. Jego żywot to wzór. Dziecko swej epoki, egzaltował się dla spraw wzniosłych, dla Ojczyzny i dla Boga. Dla Ojczyzny wstąpił w szeregi husarzy i brał udział w potrzebie Beresteckiej. Spędziwszy lata młode na dworze cesarza Ferdynanda, by poznać świat, ludzi, i nabrać poloru. Przyjaźnił się z Janem Sobieskim i pod jednym sypiał z nim namiotem za czasów wojennych. Wstąpiwszy do stanu duchownego, zasłynął jako roztropny kapłan i obywatel. Zwłaszcza zaś przywiązanym był do króla Jana Kazimierza, z którym dzielił dobrowolne wygnanie. Królowa Marya Ludwika jemu zleciła wykonanie swego testamentu. Gdy Jan Sobieski zasiadł na tronie polskim, dał Małachowskiemu biskupstwo chełmińskie i podkanclerstwo 1676 roku.

W następnym roku wezwał biskup Misyonarzy do swojego seminaryum w Chełmnie i przyczynił się hojnie do budowy domu u św. Krzyża w Warszawie. Posunięty na biskupstwo Krakowskie, dał Misyonarzom (1682) seminaryum Zamkowe w zarząd, a wiemy, ile potem zrobił dla Stradomia.

Popierał również PP. Wizytki. Wystawił im klasztor (1693) i kościół św. Franciszka Salezego. OO. Jezuitom dał 10 tysięcy złp. na kolegium krakowskie. — Dla biednych był bardzo hojnym. Miastu Krakowu dał do obrony 500 zbrojnych ludzi, aby w czasie zaburzeń bezkrólewia strzegli miasta przeciw łotrzykom. Królowi Sobieskiemu idącemu na odsiecz Wiednia wystawił dwa pułki: husarski i dragoński. Słowem, życie jego to szereg pięknych czynów. Tem więc milej, że takiego biskupa mamy fundatorem [1]).

Był usposobienia żywego, energiczny i bardzo egzaltowany. Widzimy to z jego stosunku do ks. de Monteils. Nieraz okazywał żywe niezadowolenie na widok trudności, ale zawsze dobre serce zwyciężało w końcu, a wielka pobożność i idea służby Bożej pchała go do niezmiernej ofiarności. Myśl o zakonnicach, służących Bogu święcie, napełniała go radością; a dzień ich ślubów nazywał dniem radości serca swego. Żył długo (ur. 1623 czy też 1624, zmarł 20-go sierpnia 1699), ale życie to obfitowało w czyny szlachetne i wielkie.

Do tych, których nam w swej miłości ku Zgromadzeniu przysłali przełożeni generalni, do owych pracowników niezmordowanych, budujących naszą prowincyę polską, zaliczyć należy niezawodnie między pierwszych ks. Augustyna de Monteils. Jego gorliwość, energia niestrudzona, temperament żywy, niekiedy surowy, nadały jego działalności siłę niezachwianą. Bolały go zawody, lecz nie łamały. Gdy było potrzeba, miał śmiałość i odwagę, siłę argumentacyi,

---

[1]) Łętowski. Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich. II. str. 217.

a zwłaszcza miał wielką ufność w pomoc niebios. Był to kapłan świątobliwy. Mszy św. nie opuszczał nigdy, nawet w podróży, choć wtedy nieraz było trzeba długo z nią czekać, jak świadczą zapiski Kroniki. Błyszczy dziwną roztropnością; wszędzie przezorny, chętnie się radzi, ale umie także przedłożyć swoje zdanie i znakomicie je uzasadnić. — Gorliwości jego odpowiadało znakomicie zdrowie, jakiem się stale cieszył, pomimo nieustannych trudów. Raz tylko chorował przez dwa tygodnie, w ciągu dwudziestolecia, jakie spędził na Stradomiu.

Życie swoje poświęcił wcześnie Panu Bogu. Urodzony w Agen 12-go lipca 1643, wstąpił do Zgromadzenia 12-go stycznia 1664, za generalatu ks. Alméras. Zaraz po wyświęceniu na kapłana, w roku 1668 wyruszył z księżmi Dupuich i Mikołajem Lecoupeux do Polski. Przyswoiwszy sobie język polski pracował z ks. Godquin na misyach z wielkim zapałem i ruchliwością. Pozyskawszy słusznie całkowite zaufanie swych przełożonych, został superyorem u św. Krzyża w roku 1682. Tam prowadził dalej zaczętą przez Ks. Dupperoy budowę kościoła św. Krzyża. Wykończył kościół niższy i wyprowadził mury całego kościoła do połowy wysokości. Włożył w to dzieło około 40 tysięcy franków własnego majątku. Przytem, jak tylko czas pozwolił, pracował na misyach [1]).

Przeniesiony do Krakowa rozwijał dalej żywą działalność. Zwyciężył niechęć wielu, którzy bali się drugiego domu Księży Misyonarzy w Krakowie. Stworzywszy wielkie dzieło, opuścił je na życzenie swych przełożonych, choć niezawodnie rozstanie z ukochanemi dziełami nie przyszło mu bez bólu. Opuścił je wszakże spokojnie i objął stanowisko asystenta u św. Krzyża, gdyż superyorem był każdorazowy wizytator. W roku 1697 był w Paryżu na konwencie generalnym. W 1700 został superyorem w Łowiczu, gdzie już od trzech lat kierowali Misyonarze seminaryum duchownem. Tam dokończył budowy gmachu seminaryjnego.

---

[1]) Por. Cyrkularz ks. generała Jolly, z 15-go listopada 1682.

Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł dla siebie grób u św. Krzyża, któremu tyle pracy i serca poświęcił. Przybył z początkiem września 1707 roku do Waszawy za interesami i nagle zachorował. W dziesięć dni potem zmarł świątobliwie, dnia 14-go września 1707 roku [1]).

Powiedziano o nim, że ściśle przestrzegał ślubów świętych i że był człowiekiem wielkiego umartwienia. Kto zresztą przypatrywał się jego olbrzymiej działalności, rozumiał zarazem,.że wiernie szedł za Ukrzyżowanym Zbawcą. Praca bowiem łączy się ściśle z cierpieniem.

Tak to pełen apostolskiej goliwości biskup dał środki wielkiemu Misyonarzowi, a ten stworzył z nich dzieło trwałe, przynoszące obfite owoce, to jest misye, rekolekcye i nieustanną pracę nad młodzieżą duchowną.

Ks. F. Bączkowicz.

---

[1]) Mémoires, I, str. 53-57.

Rzut oka na stan obydwóch Zgromadzeń w Belgii.

Kiedy 27 kwietnia 1897 r. Ks. Doutreloux, biskup z Liège wkładał do ołtarza poświęconej przez siebie kaplicy Sióstr Miłosierdzia w Ans relikwie św. Wincentego i błog. Jana Gabryela Perboyra, nikt nie przypuszczał, że w kilka lat później w ołtarzu tym znajdzie się najdroższy skarb Zgromadzenia, całe ciało św. Wincentego i trumienki z relikwiami jego bohaterskich synów błog. J. Gabryela P. i błog. Franciszka Kleta. Kościół Sióstr Miłosierdzia w Ans stał się odtąd miejscem zbiorowych pielgrzymek członków konferencyi św. Wincentego, gęsto rozsianych po całej Belgii; smutkiem tylko ściska się serce dzieci św. Wincentego, że nie mogą uczcić drogich prochów swego św. Ojca w kaplicy domu macierzystego w Paryżu. *Mane nobiscum, Domine, quoniam advesperascit:* Zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi — to napis, wyryty pod płaskorzeźbą antypedyum ołtarza w Ans, przedstawiającą Chrystusa P. wśród uczniów z Emaus. Napis ten, tak trafnie wyraża nastrój, jaki się budzi w duszy, gdy się klęczy u trumny naszego św. Ojca, wygnańca z własnej ziemi.

Szczególne jednak błogosławieństwo Boże roztacza się z tych św. relikwii na obydwa Zgromadzenia, pracujące na gościnnej ziemi belgijskiej. Dopiero od r. 1883 istnieje np. prowincya belgijska Sióstr Miłosierdzia, a już liczy dzisiaj do 700 Sióstr w 73 domach. Wprawdzie już w r. 1671, za rządów Ks. Alméras, założono w Verviers dom Sióstr Miłosierdzia pod protektoratem biskupa z Liège, elektora kolońskiego, ale wielka rewolucya francuska przecięła gwałtownie węzły, łączące tę oddaloną placówkę z domem centralnym w Paryżu. Nic też dziwnego, że Siostry belgijskie, zostając

odtąd pod wyłącznym kierunkiem biskupa, nie tylko zmieniły suknie, ale i regułę życia. Miłość do św. Wincentego wrosła jednak widocznie głęboko w dusze, skoro w r. 1854, po krótkich pertraktacyach, 50 Sióstr z 4 domów w Verviers, złożyło śluby w ręce O. Etienne.

Istnieje między prowincyą belgijską a krakowską Sióstr Miłosierdzia pewien związek, może jeszcze nie wszystkim znany. Wiadomo, że w r. 1859 zjechała do Krakowa S. Talbot, jako wizytatorka prowincyi galicyjskiej i że jej dziełem jest dom macierzysty Sióstr na Kleparzu. Widocznie S. Talbot otrzymała jakby specyalną misyę do zakładania domów centralnych, bo i siedziba Sióstr w Ans jej zawdzięcza swój początzk. Pod rządami S. Talbot i S. Derieux, dawniejszej przełożonej generalnej, rychło doszła prowincya belgijska do niezwykłego rozkwitu. Znacznie później od Sióstr osiedlili się w Belgii Księża Misyonarze i dlatego też najpierw poświęcimy kilka uwag pracy siostrzyńskiej.

Zrazu może zdziwić, że z pośród 73 domów belgijskich Sióstr tylko w 9 znajdują się szpitale: Andrimond, Dinant, Ensival, Herve, Huy, Nivelles, Thimeon, Thuin i Verviers, w 18 rozwinęły się najrozmaitsze dzieła miłosierdzia, a cała reszta zajęta jest szkołą. Ażeby zrozumieć ten stan rzeczy, trzeba zauważyć, że prowincya belgijska organizowała się i rosła wśród gorącej walki katolików o duszę dziecka.

Gdy w r. 1879 uchwyciło ster rządów liberalne ministeryum Frère-Orban, masonerya otrąbiła odrazu pobudkę do walki z katolikami o szkołę. Wniesiono do parlamentu projekt prawa, wykreślającego religię z programu naukowego rządowych i gminnych szkół elementarnych; zostawiono tylko z łaski specyalny lokal dla proboszcza lub jego zastępcy na naukę religii. Księża mieli ustąpić ze wszystkich rad szkolnych, a cała nauka począwszy od szkół ludowych a skończywszy na seminaryach i liceach, miała być bezwyznaniową.

Ze strony liberalnej dano hasło do ataku, ze strony katolickiej rozpoczęły się energiczne przygotowania do obrony. Na czele kleru stał wówczas człowiek o wyjątkowych zdol-

nościach, świetny pisarz i nie mniej znakomity organizator, kardynał Dechamps. Nadszedł właśnie czas wielkopostny, biskupi wydali do wiernych wspólny list pasterski, ostrzegając przed nadchodzącą burzą i wzywając do czujności. Na końcu każdej mszy św. miano odmawiać: „Od szkół bez Boga i od nauczycieli bez wiary, zachowaj nas Panie“. Na dany znak, we wszystkich kościołach, ze wszystkich ambon odczytano list pasterski i komentowano w osobnych kazaniach. Zawrzało wśród ludu, całą katolicką Belgię przebiegł odradzający prąd ducha religijnego. Po miastach i zapadłych wsiach flamandzkich, wszędzie powtarzano w modlitwach: „Od szkół bez Boga, od nauczycieli bez wiary, zachowaj nas Panie!“ Cała Belgia pokryła się siecią komitetów oporu, najświetniejsi mowcy parlamentarni jeździli po całym kraju, zaglądali do najodleglejszych wiosek, robotnicy i wieśniacy wygłaszali płomienne protesty na zebraniach pod gołem niebem, wśród burzliwych oklasków tysiącznych tłumów. Duchowieństwo i inteligencya prowadzili rozbudzony lud do boju w karnych zastępach, nigdzie nie zakłócono porządku. Rozpoczęła się walka w parlamencie. Czem Windhorst i Schorlemer byli dla katolików podczas Kulturkampu w Niemczech, tem dla Belgii byli żyjący jeszcze dotychczas Beernaert i Wooste. Nigdy w parlamencie nie słyszano świetniejszych, wymowniejszych słów protestu w imię wolności sumienia. Ale silniejsi chwilowo liberali przeforsowali prawo, senat je poparł większością jednego głosu, a król, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, podpisał. Wszystkie dzienniki katolickie wyszły wtenczas w czarnych obwódkach, na znak żałoby. Rozpoczęły się dni twarde, lecz pełne chwały dla katolików belgijskich, zaczęto organizować zastrzeżone przez konstytucyę szkoły prywatne. Biskupi wydali rozporządzenie, zabraniające rodzicom katolickim wysyłania dzieci do szkół rządowych, z wyjątkiem kilku wypadków wyraźnie zastrzeżonych, nauczycielom zakazano pracować w szkołach bezwyznaniowych. Niejedno sumienie musiało obierać między stratą karyery i majątku, a głosem biskupów. Niemal wszyscy

usłuchali wołania swych pasterzy. Masowa dymisya nauczycieli katolickich, wprawiła rząd w kłopotliwe położenie, bo na opróżnione miejsca trzeba było znaleźć 2.000 świeżych sił. Toteż nic dziwnego, że mianowano nauczycielami 15 letnich chłopców z seminaryum i ludzi bez wykształcenia tak, iż w przeciągu 5 letniej walki szkolnej wydano 3496 dyplomów nauczycielskich, t. j. tyle, ile ich wręczono w 36 poprzednich latach. Zdarzało się, że w szkole rządowej było zaledwie 10 dzieci, ale rząd kazał budować drugi budynek, ażeby wycisnąć grosz z biednych katolików. Zdarzało się, że w szkole było 1 dziecko i 1 dlań nauczyciel, opłacany kosztem katolickiej gminy. Bywało i tak, że w szkole nie było ani jednego dziecka, ale gmina musiała płacić tysiące na utrzymanie szkoły. We Flandryi w przeciągu 5 lat każdy uczeń szkoły liberalnej kosztował 2520 franków, licząc jedynie pensye nauczycielskie. Stąd gminy musiały opłacać coraz nowe podatki, a gdy się zważy, że katoliccy rodzice musieli utrzymywać własne szkoły, zrozumie się całą bezczelność rządu liberalnego, co rozrzutną ręką trwonił krwawo zapracowany grosz wieśniaka i robotnika, by opłacić jednego lub dwóch nauczycieli, w których szkole nie było ani jednego dziecka.

Upłynął zaledwie jeden rok, a w każdej gminie wznosiła się szkoła katolicka, osobna dla chłopców, osobna dla dziewcząt, podczas gdy budynek rządowy świecił pustkami. Katolicy zbudowali w przeciągu jednego roku 2064 szkoły, a w r. 1884, gdy upadł gabinet liberalny, liczba ich wzrosła do 3885. Personal nauczycielski liczył 8713 nauczycieli i nauczycielek, szkoły rządowe straciły 357.123 dzieci, więc 60% ogółu dziatwy, gdy tymczasem liczba dzieci uczęszczających do szkół katolickich podniosła się z 90.125 do 580.380. Rząd widząc swoją przegraną, uciekał się do środków najwstrętniejszych, usuwał księży z ich probostw, łamał wiernym katolikom ich karyerę, trwonił grosz publiczny na niepotrzebne budynki szkolne i niepotrzebnych nauczycieli; toteż dług publiczny urósł w przeciągu walki o szkołę o 514 milionów franków. Ta perfidya i tyrania oburzyła nawet

liberałów, którzy nie zaprzepaścili zdrowego rozsądku. Katolicy zaś zorganizowali się w zastęp karny, gotowy na wszelkie ofiary. Zbliżyły się wybory 1884 r., liberali przeczuwali swą klęskę i zaczęli się kłócić między sobą, lepsze żywioły odrywały się od nich, wiążąc się otwarcie z katolikami. Dość było już wszystkim wolności wolnomyślnej, dość już było marnowania grosza i korrupcyi. Nadszedł dzień 10 czerwca 1884, gdy naród stając do urny, miał wydać wyrok na nieuczciwą pracę dotychczasowego rządu. Mieli liberali w Izbie 10 głosów większości, nowe wybory były dla nich pogromem: katolicy zyskali 34 posłów więcej, kraj cały odetchnął.

Kiedy organizowano szkoły katolickie, musiano zaapelować do ofiarności zakonów męskich i żeńskich dla braku sił nauczycielskich wobec olbrzymich potrzeb. Kto mógł dopomagał, dostarczał personalu nauczycielskiego. Zrozumiałą zatem jest rzeczą, że i Siostry Miłosierdzia objęły kierownictwo szkół, dla uratowania duszy dziecka przed niewiarą. Zresztą niebezpieczeństwo znieprawienia duszy dziecięcej nie minęło z upadkiem rządów bezbożnych, gdyż zostały jeszcze dawne prawa, które można było naciągać w różny sposób. Wydano nową ustawę, zabraniającą w szkołach gminnych wszelkiej wzmianki o kwestyach religijnych poza nauką katechizmu, jeżeliby nawet jedno dziecko w klasie oświadczyło, że jest bezwyznaniowem. Skoro wystarczy deklaracya jednego dziecka, że nie chce słuchać wykładu religii, by całą szkołę zamienić na bezwyznaniową, mogą liberali wprowadzać do szkół po jednem dziecku, by całej nauce wydrzeć charakter wyznaniowy. Tak np. w prowincyi Hainaut w r. 1909 na 55.337 dzieci, zapisanych w szkołach gminnych, tylko 8.758 było uwolnionych od uczęszczania na wykłady religii, a stąd dla 8.758 bezwyznaniowców 46.579 dzieci chodziło do szkoły, w której poza lekcyą religii nie wolno dotykać kwestyi wyznaniowej ani jednem słowem. Zrozumiałą jest propaganda liberałów na początku roku szkolnego za dyspenzą od religii. Rozrzuca się wszędzie odezwy, rozlepia afisze, wzywające do podań o dyspenzę. Ze zarządów gminnych i stowarzyszeń

idzie silna presya na biednych ojców rodzin. W szkołach tego rodzaju, wyznaczono na naukę religii pierwsze pół godziny przed i ostatnie pół godziny po lekcyach; a ponieważ ksiądz nie może być wszędzie obecnym, musi prosić o zastępstwo jednego z nauczycieli, albo szukać delegata poza szkołą. Stąd pochodzi lekceważenie religii, nauczanej przez osoby, nie mające ani odpowiedniej kwalifikacyi ani odpowiedniej powagi. Jeżeli nauczyciel liberalny sam decyduje się na uczenie religii, to łatwo zrozumieć, że w najlepszym razie ogranicza się wszystko do wybębnienia na pamięć. Zdarzają się jednak gorsze rzeczy, bo nauczyciel używa czasem religii za środek znieprawienia dziecka przez przekręcanie prawd wiary. Stąd też podniosły się głosy katolików, żeby raczej wykreślić katechizm z programu szkół bezwyznaniowych, aniżeli pozwalać na przekręcanie prawd wiary lub na propagandę antyreligijną podczas samej religii. Z posiewu szkoły bezwyznaniowej zaczynają już wyrastać owoce zastraszające. W zagłębiu Charleroi jest jedna trzecia małżeństw cywilnych, a w niektórych miejscowościach liczba pogrzebów cywilnych chwieje się pomiędzy 25% a 50%. Gdzie rady gminne opanowała masonerya i socyalizm, tam szerzy się niewiara, gdyż los nauczyciela lub nauczycielki zależy od radców gminnych. Jeżeli tylko nauczyciel zdradza trochę przychylności dla religii, staje się przedmiotem szpiegostwa i szykan bez końca. Bajka o poszanowaniu przez socyalizm osobistych przekonań religijnych występuje tu najwidoczniej. W sercu ludu tkwi jednak głęboko religia i rezultaty nie odpowiadają szalonej agitacyi bezbożnych. Lud bardzo często ulega jedynie presyi bezbożnych pracodawców i socyalistycznych stowarzyszeń. Gdyby katolicy rozporządzali większymi zasobami materyalnymi, szkoły ich mogłyby wytrzymać konkurencyę nawet w samem sercu socyalizmu belgijskiego, w prowincyi Hainaut, gdzie każda nowa szkoła katolicka, odrazu się zaludnia pomimo terroru socyalistycznego. W latach 1900—1902 liczba dzieci w szkołach gminnych podniosła się z 95.703 do 98.420, podczas

gdy w szkołach katolickich przyrost był daleko znaczniejszy: z 26.311, liczba uczniów podniosła się do 36.063. Teror zatem zapędza przedewszystkiem do szkół bezwyznaniowych. Nie tylko więc zrozumiałą, ale konieczną jest praca naszych także Sióstr Miłosierdzia w szkołach belgijskich, bo jest to walka o duszę dziecka, walka o religię dla przyszłego społeczeństwa, a chociaż Siostry same nie mogą dostarczyć wszystkich sił i muszą dobierać nauczycielki świeckie, to jednak ich kierownictwo roztacza w całej szkole ducha religijnego, bożego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Konstanty Michalski.

KRONIKA.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków — Kleparz. — Rok ubiegły zaczynaliśmy i kończyli, jak zwykle od lat około trzydziestu, rekolekcyami ludowemi, tem tak ukochanem przez Ojców naszych dziełem. A lud gromadził się ochotnie i licznie, by czerpać ze zdrojów łask Bożych. Seryi wszystkich było dziesięć. Trzy serye były z początkiem roku, od 9 do 13 stycznia dla mężczyzn (w liczbie 290), od 16 do 20 stycznia dla dziewcząt (450), od 13 do 16 lutego dla kobiet (600). Reszta odbyła się pod koniec roku, a wprowadzono w niej tę zmianę, że osobno wyznaczono czas na ćwiczenia duchowne dla ludu z Galicyi i z Królestwa, a osobno dla Ślązaków, gdyż ci ostatni prosili o rekolekcye, ale na wspólne z innymi nie chcieli przybywać, z powodu niewygód i trudności. Były zatem rekolekcye od 24 do 26 października dla kobiet ze Ślązka (w liczbie 34), od 13 do 16 listopada dla kobiet z Królestwa i Galicyi (730), od 21 do 23 listopada dla mężczyzn ze Ślązka (około 100), od 5 do 8 grudnia dla dziewcząt ze Ślązka (100), od 11 do 15 grudnia dla dziewcząt z Galicyi i z Królestwa (600), od 18 do 22 grudnia dla mężczyzn z Galicyi i z Królestwa (400). Konfratrzy trzech domów krakowskich współpracowali według sił gorliwie w tej tak zbożnej sprawie. A pociechy nie szczędził nam Pan Bóg, zwłaszcza, gdy się widziało tak wiele i dziwnych skutków w sercach tego dobrego ludu.

Jedna tylko zachodziła oddawna już odczuwana przez wszystkich trudność w czasie tej pracy, zwłaszcza, gdy licz-

niejsza gromada ludu się zeszła, to jest szczupłość ubikacyi na ich pomieszczenie, a zwłaszcza ciasnota kościółka naszego. Ta okoliczność, oraz ścisk w czasie dorocznych odpustów lub innych uroczystości i napływ ludu do Sakramentów św. taki, że liczba Komunii św. wzrosła w tym roku do 89.240, a zatem o 10.000 wyżej w porównaniu z rokiem poprzednim (1910), dały pohop do podjęcia na nowo poruszonej przed kilku laty myśli o powiększeniu kościółka. Według planów Dra Zubrzyckiego, zaczęto pracę około nowych fundamentów już w dniu 11 listopada, a pracowano tak raźno, że z nadejściem pierwszych mrozów i śniegów praca już była gotowa. Żywimy w Bogu nadzieję, że zima następna zastanie nas już w obszernej świątyni, z osobną kaplicą ku czci Matki Najśw. z Lourdes.

Poza zwykłemi zajęciami domowemi i szkolnemi, w kościele i przy szpitalach, oraz w domach SS. Miłosierdzia, spieszą nasi księża wszędzie ze spowiedzią młodzieży po zakładach, oraz z innemi posługami duchownemi. — Katechetami byli w roku 1911: u św. Stanisława z początkiem roku ks. Stanisław Grabowski, w nowym roku szkolnym ks. Sobawa; w Zakładzie św. Jadwigi ks. Sosnowski (co niedzielę i święto przez godzinę), w szkole św. Jana Kantego na Smoleńsku dla 200—300 analfabetek w 3 oddziałach ks. Sobawa (co niedzielę przez dwie godziny), dla terminatorów w szkole wieczornej ks. Rzymełka, oraz tenże w liceach p. Kaplińskiej i p. Strażyńskiej.

Cały szereg misyi, wycieczek apostolskich i rekolekcyi dawali nasi konfratrzy w roku zeszłym. — Misyi było 9 seryi, danych częścią własnemi siłami, częścią z pomocą innych domów: w Sassowie od 12 do 16 marca, ks. Rossmann i ks. Brukwicki, w Gostyniu (ks. Poznańskie) od 30 kwietnia do 6 maja, ks. Rossmann, ks. Dudek i ks. Wochowski, w Lubczy, w dyec. tarnowskiej, od 8 do 14 maja, w Pomozanach (w archidyec. lwowskiej) od 21 do 28 maja ks. Rossmann i ks. Truszkowski, ci sami w filii tejże parafii w Rykowie, w Radgoszczy (w dyec. tarnowskiej), od 20 do

27 sierpnia, ks. Krzyszkowski, ks. Dudek, ks. Bieniasz i ks. Szymbor, w Rywałdzie (w Prusach Zachodnich) od 3 do 10 grudnia ks Bieniasz i ks. Szymbor, w Gdowie (w dyec. krakowskiej) od 10 do 17 grudnia ks. Wizytator, ks. Krzyszkowski i ks. Dudek, w Siedlcu (w ks. Poznańskiem) od 17 do 21 grudnia ks. Weiss, ks. Bieniasz i ks. Szymbor. — Wycieczki apostolskie do Polaków w Belgii i w północnej Francyi robili z początkiem roku ks. Góral i ks. Bieniasz; do Polaków w dyecezyi hildesheimskiej w Niemczech w lecie ks. Witaszek wraz z ks. Paszyną (z Nowej wsi); do robotników polskich w Morawskiej Ostrawie ks. Witaszek od 12 do 19 marca; dla pomocy w spowiedzi wielkanocnej w Drohobyczu ks. Rossmann od 2 do 17 kwietnia; dla wyręczenia w pracy parafialnej ks. Brandysa, posła do parlamentu niemieckiego, proboszcza w Dziergowicach na Górnym Ślązku spędziło dłuższy czas kolejno trzech konfratrów: ks. Ściskalski, ks. Malik i ks. Masny. W Zakładzie Kurnickim w Zakopanem bawił z posługą duchowną przez czerwiec ks. Witaszek. — Rekolekcyi bądź dla SS. Miłosierdzia, bądź dla różnych zakonów, dla Dzieci Maryi, dla szkół i Stowarzyszeń w Krakowie, we Lwowie, w Przemyślu, w Tarnowie i innych miejscowościach w Galicyi, oraz w Poznaniu, Wolsztynie i w Chełmnie, dali nasi konfratrzy w zeszłym roku około pięćdziesiąt seryi, z czego 20 przypada na ks. Superyora Lewandowskiego, reszta na innych księży.

Z licznych zmian konfratrów zaszłych w ciągu roku wypada zanotować przeniesienie ks. Rossmanna w charakterze superyora domu do Jezierzan; jego zaś miejsce na urzędzie dyrektora misyi objął ks. Szymbor, przeniesiony na Kleparz z Nowej wsi. Miejsce dawnych kapelanów szpitala św. Łazarza, ks. Dudka, przeznaczonego do misyi, i ks. Linkerta, przeniesionego do Odporyszowa, zajęli ks. Włodarczyk, przybyły z Nowej wsi, oraz ks. Masny przeniesiony na Kleparz z Sokołówki. Na stałe też osiadł wśród nas Najczcig. ks. Jubilat Kiedrowski.

Seminaryum nasze, liczebnie daleko mniejsze, niż w latach poprzednich, otrzymało w miejsce 8 kleryków, którzy po ukończeniu dwuletniej próby przeszli na studya na Stradom. z wrześniem nowy zastęp w liczbie 13 wychowanków Małego Seminaryum w Nowej wsi. Pod koniec roku wstąpił do Zgromadzenia i rozpoczął Seminaryum ks. Leon Chocieszyński z dyecezyi Poznańskiej, oraz Maryan Sołhaj, słuchacz III. roku teologii z seminaryum duchownego we Lwowie. Liczba seminarzystów wynosi 27.

Kraków — Stradom. — Z początkiem roku ubiegłego minęło 225 lat od założenia naszego domu. Połączyliśmy sobie ten ściśle domowy jubileusz z odpustem św. Pawła, bo w czasie jego nowenny przypada dzień, kiedy ks. Augustyn de Monteils osiadł jako pierwszy konfrater i superyor na Stradomiu. Mieliśmy za co dziękować Panu Bogu przechodząc w myśli tyle dziesiątek lat, przez które Ojcowie nasi z takim pożytkiem pracowali i w seminaryum i na misyach. *Benedictus es, Domine, Deus patrum nostrorum,* bo po tylu latach tensam jeszcze duch ożywia nas i danem jest nam dalej prowadzić ich dzieło. Krzątali się i gromadzili cegiełki, by wznosić potężne mury, ale tchnęli w nie wielkiego ducha, który i dzisiaj z nich do nas przemawia. Tyle stąd wyszło pokoleń młodych lewitów, którzy zasilali szeregi duchowieństwa świeckiego dyecezyi krakowskiej, — a od przeszło dziesiątka lat wychodzą stąd nowe zastępy młodych Misyonarzy, a wychodzą z takim Bożym zapałem, że dla nich granice jednej dyecezyi, kraju, nawet Europy za ciasne. I dziękowaliśmy Panu Bogu, obchodząc z podniesionem sercem tryduum św. Pawła. W pierwszym dniu celebrował łaskawie sumę pontyfikalną, tak nam blizki i zawsze życzliwy ks. infułat Gawroński. Nie występując w infule prawie nigdy i nigdzie, tym razem zrobił dla nas wyjątek. Nie zważał na wiek i na zimno, żeby wziąć udział w radości naszej. W trzecim dniu odprawił cichą Mszę św. Najprzew. Ks. Biskup Nowak, a po południu celebrował pontyfikalne nieszpory i konkluzyę, jak to łaskawie zwykł czynić od szeregu lat co

roku. Liczne zastępy wiernych z roku na rok biorą udział w tych trzydniowych uroczystościach.

Praca nasza w kościele stale się rozwija. A poza domem zapełniamy nią cały wolny czas poza obowiązkami szkolnymi, spiesząc z pomocą swoim i obcym. Rekolekcye dawaliśmy w roku ubiegłym dwa razy w Domu Pracy dla ubogich i dla Dzieci Maryi, dla młodzieży w gimnazyum III., podwójne w Akademii handlowej, w seminaryum żeńskiem, w szkole wydziałowej Konarskiego, w zakładzie PP. Norbertanek, dla ubogich i dziatwy w Tow. Dobroczynności, we Lwowie dla naszych Sióstr, dla inteligencyi w Żabnie i Radomyślu. Młodzież nasza oddaje się poza szkołą z zapałem katechizacyi, tak w domu jak poza domem, ostatnimi czasy u młodocianych aresztantów miejskich, których nadzór nam oddano. Katechumenat dla żydów i innowierców prowadzili dyakonowie, a od 2 lipca z. r. nowo wyświęceni księża. Swięcenie presbyteryatu otrzymali w katedrze na Wawelu z rąk Najprzew. ks. Biskupa Nowaka w uroczystość Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny, księża: Stanisław Piasecki, Józef Studziński, Anicet Weiss, Jan Tarłowski, Stanisław Kalla, Jan Lorek, Jan Olszówka, Adam Piasecki, Jan Szulc, Jan Cepurski, Tomasz Kania. Dwnasty z tych młodych apostołów Leopold Petrzyk otrzymał dyakonat we wigilię 24 grudnia z. r. z rąk Najprzew. Ks. Biskupa w naszym kościele, a presbyterat ma otrzymać na przeniesienie relikwii św. Wincentego, 21 kwietnia b. r. Zostają jeszcze u nas przez rok, jakto się stało zwyczajem, by się teoretycznie i praktycznie przysposobić do różnorakiej pracy pasterskiej, jaka ich czeka na różnych polach. Z młodzieńczym zapałem i gorliwością godną dzieci św. Wincentego rwą się do pracy kapłańskiej, pomagając swej starszej Braci, a nie rozstając się z książką, uczą się ją kochać przez całe życie.

Do Rzymu zabrał się w roku ubiegłym z ks. Ludwikiem Pawlińskim ks. Ignacy Pawłowski. W miejsce ks. Hieronima Gintrowskiego, który od czasu wyświęcenia aż do października r. z. z wielką miłością dla przeszłości domu

pracował u nas, przybył do nas jako prokurator domu ks. Konstanty Witaszek. Dyrektorem kleryków został od września z. r. ks. Józef Krause. Z Kleparza przybyło do nas po wakacyach ośmiu kleryków studentów. Z wielką uroczystością złożyli śluby św. w dzień Wszystkich Świętych, przed Najczcig. ks. Wizytatorem w naszym kościele.

Od jesieni z. r. przyjęliśmy znowu opiekę duchowną nad ubogimi w zakładzie Br. Alberta, tymi najuboższymi z ubogich. Dawniej pracowaliśmy tam przez szereg lat, przez kilka lat dla szczupłości naszej liczby musieliśmy tę pracę opuścić Wróciliśmy znowu, bo to najlepsza szkoła dla Misyonarza. Na teologii zaprowadziliśmy kurs języka angielskiego, a da Pan Bóg, zaprowadzimy później kurs języków, potrzebnych nam na tak szerokiem polu kochanej prowincyi naszej. — Nekrolog ś. p. ks. F. Bystrzonowskiego zamieścimy w następnym numerze.

Kraków — Nowa wieś XV. — Z kroniki tutejszego domu w ubiegłym roku nie wiele mamy do zanotowania szczegółów interesujących, bo konfratrzy prawie wyłącznie zajęci są pracą około wychowania i kształcenia wychowanków Małego Seminaryum, których liczba dochodzi w pierwszych 4 klasach do 70. W ubiegłym roku przeszło stąd do Seminaryum Internum na Kleparz 13 wychowanków po ukończeniu klasy IV. W gronie tutejszych księży profesorów zaszła w ciągu wielkich wakacyi pewna zmiana, mianowicie dwóch konfratrów odwołano na Kleparz, ks. Szymbora, dotychczasowego dyrektora Zakładu, na dyrektora misyi, i ks. Włodarczyka na kapelana do szpitala św. Łazarza.

W ich miejsce otrzymaliśmy nowe siły w osobie ks. Stanisława Grabowskiego i ks. Jana Ściskalskiego. Wśród wychowanków zaprowadzono już w r. 1910 jednakowe umundurowanie gimnazyalne, co wobec dzisiejszych stosunków okazało się nam rzeczą niezbędną.

Prócz tego, o ile na to czas pozwala, poświęcają się konfratrzy tego domu pracy duszpasterskiej w kościele. Z radością zaznaczyć należy, że frekwencya wiernych na nabo-

żeństwo, zwłaszczcza w niedziele i święta, wzrasta coraz bardziej, tożsamo powiedzieć należy i o przystępowaniu do częstej Komunii św., o czem najlepiej świadczy liczba rozdanych Komunii św. w ubiegłym roku, dochodząca do 22.326. Założono również przy tutejszym kościele bractwo Komunii wynagradzającej, do którego zapisali się także wszyscy wychowankowie naszego Zakładu. Pomyślnie także rozwijają się i inne bractwa i stowarzyszenia istniejące przy tutejszym kościele, że wymienię tylko Stowarzyszenie Dzieciątka Jezus, Bractwo Żywego Różańca, Stowarzyszenie Dzieci Maryi i Aniołów Stróżów w domu Sióstr Miłosierdzia. Liczba członków należących do rozmaitych stopni wynosi przeszło 200 dziewcząt.

W listopadzie roku ubiegłego założono przy tutejszym kościele bibliotekę i wypożyczalnię książek, dzięki poparciu krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej. Zapał do czytania, zwłaszcza wśród młodszej generacyi jest ogromny. Liczba wypożyczających książki z tej biblioteczki dochodzi do 100 i wciąż wzrasta.

Nadto konfratrzy tutejszego domu spieszą z pomocą w kazaniach i słuchaniu spowiedzi, jużto na odpusty do Tarnowa i Odporyszowa, już też na rekolekcye ludowe na Kleparz. W czasie Wielkiego Postu dawał również rekolekcye ks. Zieliński w kościele SS. Sercanek dla służących, a ks. Superyor przewodniczył rekolekcyom w pensyonacie SS. Augustyanek w Krakowie. Ks. Paszyna zaś odbywał ekskursye misyjne w północno-zachodnich Niemczech, w dyecezyi hildesheimskiej w czasie dwumiesięcznych wakacyi. Dla uzupełnienia powyższych notatek dadajemy jeszcze to, że w kościele naszym wygłosiliśmy 75 kazań, a chorych zaopatrzono w gminach podmiejskich przeszło 100.

Miło nam także zanotować pocieszający fakt, że w tym roku dom nasz zyskał pewne ulepszenia, mianowicie wodociąg i oświetlenie elektryczne.

Jeżeli jeszcze dodamy do tego, że konferencya św. Wincentego a Paulo, do której nasi księża należą jako człon-

kowie czynni lub wspierający, założona tutaj przed kilkunastu laty, a obecnie pomyślnie się rozwijająca, wspierała przeciętnie 22 ubogich, zaopatrując ich w pożywienie i opał, będziemy mieli ogólny pogląd na pracę i zatrudnienia konfratrów domu nowowiejskiego.

Odporyszów. — Ks. Superyor Krzyszkowski pisze pod datą 9 stycznia 1912:

W ubiegłym roku dał nam Pan Bóg łaskawie dokończyć budowy domu, który też poświęcił nam Np. ksiądz Wizytator dnia 26 października. Kochani Konfratrzy licznie na tę uroczystość przybyli ze względu na to, że dzień przedtem zebrano się na zamknięcie 50-letniego jubileuszu kapłaństwa Czcig. Ks. Kiedrowskiego w Tarnowie, a z Tarnowa już tylko dwie mile do Odporyszowa.

W misyach tylko dwa razy braliśmy udział tego roku, w Radgoszczy i w Gdowie. Tak już P. Bóg pokierował, że potrzeba obecności prawie ustawicznej przy budowie zeszła się szczęśliwie z tem, że mniej nas odwoływano do prac na dalszym terenie.

Natomiast praca w miejscu i w najbliższej okolicy wcale nie zmalała, owszem stale wzrasta. Ta okoliczność, że liczbę kapłanów w tym domu stale mieszkających podniesiono do trzech, sprawiła. że wiedząc o tem i ludzie sami i okoliczni duszpasterze częściej zajmują nas spowiedziami.

Liczba Komunii św. zwiększyła się o blizko 8000, bo w roku 1910 rozdano 18897, w 1911 roku podniosła się cyfra do 26780.

Lwów. — *M. Seminaryum.* — Sprawozdanie Ks. Rektora Gaworzewskiego:

Praca konfratrów Domu przy M. Seminaryum w dwóch rozciąga się kierunkach: obowiązki w samym Zakładzie i praca po za Zakładem.

Troską naszą najżywszą w Zakładzie jest utrzymać możliwie najwyższy poziom nauki, dbać o moralne wyszkolenie młodzieży opiece naszej zleconej i starać się o zdrowie fizyczne.

Pod względem nauki umożliwiamy uczniom kształcenie umysłu nietylko przez lekcye ścisłe, jakie pobierają w gimnazyum, ale ułatwiamy wszelkie sposoby samokształcenia w lokalach różnych, założonych tak w samym Zakładzie, jako też w gimnazyum, jak np. kółko filologiczne, germanistyczne, literackie, przyrodnicze, laboratoryum fizyczne i kółko historyi sztuki. A już przy samem przyjęciu do Zakładu dokładamy starań, aby z dobrodziejstwa Zakładu korzystali tylko uczniowie zdolni, którzy czyto w stanie duchownym czy w społeczeństwie wogóle pracować będą z pożytkiem. Nieszczęśliwe wypadki klasyfikacyi, choćby tylko jednego dotyczyły przedmiotu, kończą się bezwarunkowem pożegnaniem Zakładu.

O stanie moralnym Zakładu niech będą świadectwem fakta, że młodzież nasza przystępuje do tygodniowej św. spowiedzi dobrowolnie w liczbie 30 do 40, a do Komunii św. codziennej również do 20 uczniów się zbliża. Na wniosek Sodalicyi Zakładu założyliśmy Komunię św. wynagradzającą, do której należy 52 studentów.

Aby podtrzymać stan zdrowotny w Zakładzie, używamy wszystkich środków, jakie są w naszej mocy, jak przechadzka trzy razy w tygodniu, 2 godziny gimnastyki w „Sokole“, pod okiem wyszkolonego fachowo nauczyciela. Pielęgnujemy i popieramy zabawy ruchowe, a w ostatnim czasie założyliśmy w Zakładzie „skonting“, tak bardzo po szkołach się rozpowszechniający i zastosowaliśmy zdrową myśl założenia w Zakładzie warstatów studenckich.

Młodzież mającą kiedyś zająć ważne posterunki w społeczeństwie, już teraz oswajamy z pracą społeczną. Studenci nasi zajmują się w „Domu dla ubogich“ drukowaniem biletów dla ubogich. Oni także przeważnie kierowali biblioteką w tymże domu. Podczas zebrań Czytelni robotniczej studenci M. Seminaryum miewali odczyty z zakresu historyi polskiej, urządzali wieczorki deklamacyjno - wokalne, przedstawiali obrazy świetlne i dawali przedstawienia sceniczne.

Mieliśmy też tę pociechę, że w przeszłym roku czterech naszych wychowanków odebrało święcenia kapłańskie i już pracują z zapałem na niwie Bożej. Na I. rok Seminaryum duchownego zgłosiło się naszych wychowanków pięciu; do nich zaś przyłączył się jeden z dawniejszych, tak, że w liczbie 6 zasilali szeregi alumów Seminaryum duchownego.

Praca nasza p o z a Z a k ł a d e m odnosi się przedewszystkiem do Towarzystw, które pracują na polu miłosierdzia chrześcijańskiego, a grupują się pod sztandarem św. Wincentego a Paulo. Pod naszą dyrekcyą zostają Towarzystwo Pań Miłosierdzia i Tow. PP. Ekonomek, które w „Domu dla ubogich" w nowszej szacie wykonują dzieła opieki nad ubogimi. W pracach męskiego Towarzystwa św. Wincentego bierzemy stale udział, jedni z nas bezpośrednio, inni choć pośrednio. Kierownictwo Tow. Św. Franciszka Salezego, które roztacza opiekę nad młodzieżą rzemieślniczą, również w naszych jest rękach. Czynny nadto udział bierzemy w Związku Towarzystw dobroczynnych, który jednoczy we Lwowie wszystkie Towarzystwa pracujące nad podniesieniem doli bliźnich. Nie usuwamy się także od udziału w Towarzystwach, które mają za cel rozwijanie pracy społecznej w kołach duchowieństwa w całej dyecezyi, oraz w Towarzystwach zawodowych, że się tak wyrażę, jakim jest Związek katechetów itp.

Jakkolwiek praca w wyżej wspomnianych towarzystwach wiele zajmuje czasu, nie usuwamy się od pełnienia posług duchownych, chociaż przyznać trzeba, że nie wszystkim prośbom możemy zadośćuczynić. W ciągu roku zdołaliśmy przyjąć szereg r e k o l e k c y j. I tak od 26/2—1/3 ks. Stefan Król przewodniczył rekolekcyom parafialnym w Czempiniu (w W. Ks. Poznańskiem). Po powrocie stamtąd, od 6/3—9/3 dawał rekolekcye w szkole im. Konarskiego we Lwowie, od 20/3 do 25/3 w filii Zakładu nieuleczalnych, 3/4—7/4 z wielkiem powodzeniem dla gimnazyum w Kołomyi. Rekolekcye w szkole im. św. Antoniego (8/3—11/3), w Zakładzie br. Alberta na Kleparowie (11/3—17/3), w szkole św. Anny (21/3—24/3), dla pań (3/4—7/4), dla ubogich (17/3—2/4), w zakładzie SS.

Notre-Dame — przewodniczył ks. Szulc. Wspólnemi siłami kierowali ćwiczeniami duchownemi w zakładzie p. Petelenza. Ks. Gaworzewski dawał rekolekcye w Zakładzie im. Bilińskich (21/3—25/3) i dla SS. Albertynek (od 5/5 do 13/5).

Pojedyńczych nauk w różnych okolicznościach, konferencyj do Sióstr. Miłosierdzia, do różnych Stowarzyszeń, przygotowanie do I. komunii św., w czasie różnych ekskursyj do Pieniak, Pełkiń i t. d., wypowiedzieliśmy w ubiegłym roku 165.

Z **Witkowa** donosi tamtejszy Superyor ks. Jakób Konieczny dnia 22 lutego b. r., że wszystkie dzieła tego domu stale i pięknie się rozwijają. W ciągu roku zeszłego brał ks. Superyor udział w misyach dawanych w Olejowie. Z pomocą duchowną do sąsiednich parafii spieszyli konfratrzy w ciągu roku trzydzieści razy. Poza tem pracowali w domu nad rozwojem kasy Raiffeisena, w której obrotu było z górą 182.000 koron, a zysku czystego 778 kor., nadto w Kółku rolniczem, którze dużo przysparza zajęcia, a przedewszystkiem nad podniesieniem poziomu religijnego w parafii, na ambonie, w konfesyonale i w szkołach.

Kaczyka. — List ks. Superyora Wojciecha Grabowskiego z dnia 4 marca 1912.

O pracy misyonarskiej naszego domku w r. 1911. nie mam nic ważniejszego do zanotowania. W poście pomagaliśmy jak zwykle w sąsiednich parafiach w Gurahumorze i Solce, nadto u ks. Dziekana w Radowcach i u zacnego ks. proboszcza w Karlsbergu. W czasie dni krzyżowych udzielaliśmy tygodnionwych rekolekcyj w Pojana Mikuli. Przykra tam była praca wśród parafian niemieckich, którzy poróżnili się ze swoim proboszczem z powodu wyborów do sejmu i rady państwa. Przed i po wielkanocy była bowiem cała ludność pod wpływem wyborów bardzo rozpolitykowana. Na Bukowinie dominują wśród Niemców dwa stronnictwa: wszechniemiecko-liberalne i chrześcijańsko-społeczne. W każdej niemal parafii przyszło do rozdwojenia w czasie wyborów. Podobne ścierania się były u Rumunów i Rusinów. Jedy-

nie wśród naszej polskiej ludności panowała ku zbudowaniu innych narodowości karność i zgoda. Polacy zyskali w czasie ostatniej reformy wyborczej 2 posłów ludowych do sejmu bukowińskiego; wielka to zdobycz na Bukowinie.

Wspomniałem w zeszłorocznej kronice, że zamierzamy zbudować schronisko dla pielgrzymów. Zamiar ten doprowadzono w ciągu roku do skutku, jak to już zaznaczyły Roczniki w roku ubiegłym (1911, 4).

Powstał gmach według naszych własnych planów. Długość jego wynosi 22 m. Z frontu przytykają 2 skrzydła, jakby oficyny Oprócz wielkiej sali z przyległą sceną, znajdują się w głównym gmachu 2 pokoiki, które mogą służyć za garderobę w czasie przedstawień; nadto w każdem bocznem skrzydle także po 2 pokoje. Całość gmachu wygląda bardzo gustownie. Poświęcenia tego schroniska dokonał ks. prałat Swoboda 10. września, w otoczeniu licznego kleru, jmiędzy innymi ks. Superyora OO. Jezuitów z Czerniowiec, ks. Sup. Lewandowskiego z Krakowa i proboszczów z sąsiednich parafij. Z przemówień podnieść należy mowę posła Dra Kwiatkowskiego po polsku i Dra Adelsbergera po niemiecku. Ostatni zaznaczył, że gmach ten ma się stać punktem zbornym dla unii katolickiej na Bukowinie. Jak bardzo potrzebnym był taki budynek, pokazało się już w sam dzień poświęcenia, w którym zjechała do Kaczyki Sodalicya Maryańska z Czerniowiec. Zrana było cudowne powietrze, prześliczna pogoda. Nagle około godziny dziesiątej przed południem w sam raz w czasie sumy zerwała się burza z gwałtowną ulewą, a potem rozpadało się na cały dzień. Jakież to szczęście było, że pielgrzymi mieli już gotowy przytułek. Toteż wszyscy się bardzo cieszyli z powstałego schroniska.

Na odpust nasz wielki, na Wniebowzięcie Matki Boskiej nie obyło się znowu bez deszczu. Już to trzeci rok nam tak deszcz całą uroczystość psuje. Pielgrzymów było na odpuście do 6000. Wyspowiadaliśmy przy pomocy 30 księży 2860 osób. Uroczystość odpustową zaszczycił też swoją obecno-

ścią Czcigodny ks. Wizytator, którego mile tak parafianie nasi jakoteż i znajomi z Bukowiny witali.

Pod koniec wakacyj zarządził ks. Wizytator zmianę konfratrów w naszym domu. Miejsce ks. Pawła Mixy, którego na kapelana szpitala św. Wincentego we Lwowie przeznaczono, objął w Sołońcu ks. Henryk Wochowski, a duszpasterstwo w Illischestie powierzono ks. Filipowi Bibrzyckiemu. Z bieżących wiadomości cieszyć będzie zapewnie Konfratrów, że gmina tutejsza zamianowała ks. Wizytatora, dawniejszego proboszcza miejscowego, obywatelem honorowym.

Ameryka północna.

Ks. Superyor Głogowski przesłał na ręce Przew. Ks. Wizytatora następujące sprawozdanie.

Misyi udzieliły trzy nasze maleńkie domki w roku ubiegłym ośm. A mianowicie:

1) Trenton N. Y. od 2 do 17 marca. Pracowało tam trzech konfratów: ks. ks. Trawniczek, Kołodziej i Słupiński. Wyspowiadało się około 1250 osób.

2) Me Adoo Pa. od 23 do 30 kwietnia. Pracowało dwóch konfratrów: ks. ks. Trawniczek i Kołodziej. Wyspowiadało się 685 osób. W tej parafii udzielaliśmy misyi po raz wtóry; pierwsza misya odbyła się tam przed siedmiu laty.

3) Woonsocket R. I. od 21 do 28 maja. Pracowało dwóch konfratrów: ks. ks. Głogowski i Waszko. Wyspowiadało się 730 osób. Także po raz wtóry była tu misya; pierwsza odprawiła się przed 5-ciu laty.

4) Center Falls R. I. od 28 maja do 10 czerwca. Pracowało trzech konfratrów; ks. ks. Waszko, Mazurkiewicz i Trawniczek. Wyspowiadało się około 1500 osób. Pierwszą misyę odprawiliśmy w tej parafii 5 lat temu.

5) Bayside L. I. od 19 do 26 czerwca. Jest to nowo założona parafia, której proboszczem jest ks. Gerwazy Kubec, były wikary ks. Misickiego. Praca w tej parafii nader przykra, raz dlatego, że od wielu lat istnieje tam zbór niezależny, a powtóre jest to jakoby śmietnik sąsiednich parafii, Broo-

klyna, Nowego Yorku i Jersey City. Energiczny proboszcz pracuje gorliwie nad przerobieniem tych wilków w owieczki, ale praca nie prędko chyba wyda owoc pożądany. Paraliżują jego zacne usiłowania karczmarze, z których dwie trzecie żyją na wiarę i jawne dają zgorszenie, a wpływ niestety mają, bo naszym rodakom imponuje każdy, kto posiada grosz jaki taki, a mniejsza o to, jakie jego moralne prowadzenie się. Ci jawni gorszyciele odprawiali równocześnie z nami misyę w swoich karczmach i temu trzeba przypisać, dlaczego z ogólnej liczby dusz dochodzącej 1000 wyspowiadało się zaledwie 600. Pracowało na tej misyi trzech konfratrów: ks. ks. Głogowski, Kołodziej i Słupiński. Misya ta nader była urozmaiconą, bo przypadły w czasie jej dwie wielkie uroczystości: Bożego Ciała, które tu w Ameryce stale przenosi się na niedzielę w Oktawie, i uroczystość Najsł. Serca P. Jezusa. Prócz tego ks. proboszcz oddawna już przygotowywał dzieci do I. Komunii św. i urządził tę nader rzewną uroczystość w dzień zakończenia misyi.

6) Nashua N. H. od 1 do 8 października. Pracowało dwóch konfratrów: ks. ks. Kołodziej i Słupiński. Wyspowiadało się 500 osób.

7) Swoyersville Pa. od 22 do 29 października. Pracowało dwóch konfratrów: ks. ks. Waszke i Trawniczek. Wyspowiadało się 530 osób.

8) Baltimore Md. od 3 do 17 grudnia. Była to najpiękniejsza misya w tym roku, bo z pomocą OO. Franciszkanów, którzy tą parafią zarządzają, wyspowiadaliśmy 2445 osób. Pracowało nas trzech; ks. ks. Głogowski, Kołodziej i Słupiński.

Sprawozdanie z pracy parafialnej i ekskursyi z domu św. Jadwigi w **Filadelfii.**

Wielkanocnych spowiedzi wysłuchaliśmy 1020 osób a Komunii św. rozdano w całym roku 6250. Czterdziestogodzinne nabożeństwo odprawiło się w naszym kościółku w dniach 15, 16 i 17 października, w czasie którego wyspowiadało się 915 osób. Pomagali nam w tej pracy konfratrzy z dwóch

innych domów i kilku życzliwych kapłanów świeckich. Chrztów było 168, między tymi jeden dorosły, ślubów 70, między tymi jeden mieszany (protestant z katoliczką), na łono wiary przyjęto dwóch schizmatyków, pogrzebów osób dorosłych było 13 a dzieci 21. Szkołę otwarliśmy 9 stycznia pod kierownictwem SS. Nazaretanek. Dzieci zapisywały się dość licznie, tak, że z końcem roku było ich 187. W ubiegłym roku przy spisie parafian, znaleźliśmy 287 familii, zamieszkałych w obrębie naszej parafi, około 540 osób pojedynczych, dzieci w wieku szkolnym 194, a poniżej wieku szkolnego 138. Ogólna liczba dusz 1450. Oprócz pracy parafialnej i misyjnej raz po raz zdarzają się okazye do ekskursyi. I tak w ubiegłym roku głosiliśmy kazania na 40-godzinnem nabożeństwie wErie, w Brooklynie i w Mester. Ks. Głogowski udzielał rekolekcyi SS. Nazaretankom w Chicago od 10 lipca do 13 sierpnia (3 serye 10-dniowe). Ks. Tyżyński zastępował przez miesiąc od 15 lipca do 15 sierpnia ks. Wierzyńskiego w Chester. Regularne ekskursye odbywają się co kwartał do Pottstown i Lansdale, celem wyspowiadania zamieszkałych tam Polaków i głoszenia im słowa Bożego. Ks. Tyżyński stale zajęty jest przy sierocińcu SS. Miłosierdzia, gdzie pełni obowiązek kapelana. Msza codzień o 6, spowiedzi tygodniowo jest tam przeciętnie 200, kazanie po angielsku co niedziela i święto uroczyste.

Ks. Superyor Waszko z **Derby** nadesłał następujące sprawozdanie:

W wielkanocnym czasie wyspowiadało się 1619 osób, Komunii św. rozdano w ubiegłym roku 8969. Chrztów było 228, ślubów 53, pogrzebów 38. Dusz wszystkich ogólna liczba 1800. W szkole pod kierownictwem SS. Nazaretanek jest obecnie 210 dzieci. Pomimo, że domek nasz składa się z minimalnego personalu, bo jest nas tylko dwóch, braliśmy udział we wszystkich 8-miu misyach, każdy z nas udzielał po jednej seryi 10-dniowych rekolecyi SS. Nazaretankom, głosiliśmy kazania na dwóch tryduach i pomagaliśmy w słuchaniu spowiedzi w sąsiednich parafiach. W czasie 40-godzinnego nabo-

żeństwa, przy pomocy konfratrów z dwóch innych domów i sąsiadów, księży świeckich, wyspowiadaliśmy 1150 osób Rok ubiegły pod względem dochodów parafialnych był szczególnie pomyślny, bo dosiągnęliśmy sumy 15.954·42 dol. Na tę garstkę ludzi, zazwyczaj licho opłacanych po fabrykach, jest to bardzo pokaźna cyfra, która najlepszym jest dowodem ofiarności naszego ludu.

Z trzeciego domu naszego z New Haven zapewne ks. Superyor przeszle obszerne sprawozdanie do Roczników.

Ameryka południowa.

Ks. Superyor Góral pisze między innemi w liście do Przew. Ks. Wizytatora, z nowo utworzonej placówki naszej w Brazylii, w stanie S. Catharina, *Guarany-Mirim,* dnia 22 grudnia r z.:

Ks. Zygmunt wyjechał na Boże Narodzenie na Rio Vermelho, po raz pierwszy. Nie wiem, jak zajedzie, gdyż drogi są bardzo złe z powodu ustawicznych deszczów. Codziennie pada i w polu urodzaje gniją. Rzeki powylewały, liczne są powodzie. Jeszcze w październiku Blumenau było zalane, na dwa metry wyżej niż w r. 1880.

My już od miesiąca mieszkamy we własnym domu, a od tygodnia, tj. od 15 grudnia, prowadzimy gospodarstwo na własną rękę. Dom miał być prowizoryczny, z desek, na rok lub dwa, bo myślano, że za kilkanaście lub kilkadziesiąt milów się go postawi. Tymczasem kosztować będzie około 800 milr. Każda rodzina w Guarany i w Massarandubie złożyła po 15 milr. lub odrobiła.

Obecnie panują tu ogromne upały. Nie możemy wcale pracować, pot się ustawicznie z nas leje. W cieniu mamy przeszło 30° C, a w słońcu przeszło 50. Głowa boli, jeść nic nie można, tem więcej, że obydwaj jesteśmy do tutejszych upałów nie przyzwyczajeni — nie przeszliśmy przez Paranę.

Dnia 2 stycznia zaś pisze dalej w tymsamym liście:

Ks. Zygmunt wrócił szczęśliwie z Rio Vermelho. Miał bardzo złą drogę z powodu deszczów. Koń trzy razy upadł, on spadł z konia, przemoczony, zbłocony. Z powrotem upały okropne omal go nie dobiły! Pasterka w Guarany i w Rio Vermelho bardzo ucieszyła Polaków. Pozwoliłem wyjątkowo na ognie sztuczne. Były rzesze ludu, Brazylianie także. Powiedziałem w nocy krótkie kazanie. W pierwsze święto po sumie, urządziłem na plebanii „łamanie się opłatkiem", a w przemowie tłómaczyłem o znaczeniu zachowania zwyczajów ojczystych. Bardzo to cieszy tutejszych Polaków, duch narodu już odżył. Uczę ich śpiewać pieśni polskie, przed sumą lub po nieszporach, w Guarany i w Rio Vermelho, bo podobno przedtem tu po łacinie śpiewano, a teraz mają wszyscy, cała kaplica śpiewać.

Załączam podziękowanie tutejszych ludzi za przysłanie im Księży:

„Przewielebny Księże Wizytatorze!

„Niżej podpisani z nowo otworzonej parafii w Massarandubie, dziękują w imieniu wszystkich parafian Przewielebnemu Księdzu Wizytatorowi za łaskawe przysłanie nam dwóch Księży, a mianowicie Ks. Józefa Górala jako proboszcza i Ks. Jana Zygmunta, jako jego pomocnika.

„Przyrzekamy nie tylko Księży utrzymywać, lecz starać się będziemy swem postępowaniem sprawiać im radość i osładzać wielkie trudy i niewygody, jakich doznają, zwłaszcza obecnie, nim wprowadzą się do własnego mieszkania".

„Massaranduba, dnia 24 września 1911".

(Następują podpisy).

Ś. p. Siostra Tekla Wężyk.

(Dokończenie).

Za pozwoleniem Najprz. Przełożonych powróciła do rodzinnego i ukochanego Krakowa i stąd robiła poszukiwania za odpowiedniem miejscem. — Ks. Golian proboszcz z Wieliczki i ks. Smoczyński proboszcz z Tenczynka głównie ubiegali się o szczęście, by w ich parafii powstał Zakład Sióstr. Zdanie siostry starszej p. Maryi z Wężyków Tomkowiczowej przeważyło szalę na stronę Tenczynka. Z pomocą brata p. Teofila zakupiła od gminy Tenczynek grunt pod budowę, której doglądania podjął się ks. Smoczyński. Budowa trwała 2 lata przez które S. Tekla była Służebną w Przeworsku. Dom ten w stanie upadku podniosła, zagospodarowała i założyła dzieło wypływające z fundacyi o zupełnie zaniedbane sieroty. Ponieważ były to dzieci wiejskie, więc też chciała i charakter ten w Zakładzie zachować, co bardzo się podobało rodzinie fundatorów, ks. Lubomirskich, którzy zachowali dla niej wdzięczność i przywiązanie.

Po 2 latach w czerwcu 1887 zjechały Siostry do Tenczynka. S. Tekla urządziła dom z wielką prostotą ale wygodnie. Pierwszeństwo miała kaplica, poświęcona Bożemu Sercu, prawdziwe cacko, w którą włożyła Swe serce i dobry gust. — Na Mszy św., którą celebrował Najprzew. ks. biskup Dunajewski, przy poświęceniu kaplicy przystąpiły do I-ej Komunii św. dzieci ze szkoły Tenczyńskiej. S. Tekla objęła szkołę rządową 2 kl.: ofiarując gminie ubogiej 4 kl. bezpłatnie, przytem własnym kosztem otworzyła ochronę, szwalnię i izbę do przyjmowania chorych, którym udzielano porad, stawiano bańki, opatrywano rany i udzielano lekarstw,

głównie homeopatyi. Oprócz tego, jedna z Sióstr odwiedzała biednych i chorych po domach. W pierwszych latach po założeniu domu, dopóki siły starczyły, S. Tekla sama wykonywała ten urząd, dając przytem medaliki i zalecając modlitwę. A czyniła to z tak anielską dobrocią i słodyczą, z taką delikatnością, że do dziś ludzie o tem pamiętają i każdy ze łzami w oczach powtarza: „Niech jej Bóg da Niebo". — Tu przy odwiedzaniu po domach poznała i zobaczyła ich nędzę nietylko materyalną, ale i moralną, co obudziło w tej szlachetnej duszy współczucie i wielką wyrozumiałość, w tych bowiem warunkach, w jakich żyją ci biedacy, cudem tylko utrzymuje się i to, co jest. — Ze znajomości stosunków płynęły jej mądre i zawsze uzasadnione rady i wkazówki, tak dla Siostry odwiedzającej ubogich i chorych, jak również i dla Sióstr zajętych w szkole, ochronie i szwalni.

Ujmowała lud swą dobrocią, uprzejmością i wyjątkową miłością, a każdy grosz po opędzeniu najskromniejszych potrzeb domowych obracała na pomoc dla biednych. Niewdzięczność ludzi bolała ją, jednak nie zrażała, podwajała wówczas gorliwość, by wzbudzić zaufanie. Odwiedzała sama ubogich, opatrywała ich rany, wspomagała w każdej potrzebie, przemawiała z taką miłością, słodyczą i pokorą, że wszyscy pokochali ją, przylgnęli do niej i z otwartością dziecka przed nią się wynurzali. Była tak przystępną, takie wzbudzała zaufanie, że wszyscy w najprzykrzejszych nawet sprawach ciała czy duszy uciekali się do niej. A ona cieszyła się tem, że coś może robić dla Boga, dzieliła serce i woreczek, czas i pracę, by wszystkim być wszystkiem, by wszystkich pozyskać Chrystusowi. To też ludność Tenczynka nie odznaczająca się ani sercem ani wdzięcznością, pokochała ją jak matkę, czciła, szanowała; przed nią schylały się głowy, głos jej był szanowany, wola spełniona. Gdy Bóg złożył ją chorobą, wtedy okazała się ta miłość najjaśniej. Ciągle dopytywano się o jej zdrowie, modlono się, zamawiano Msze św., by wyjednać zdrowie. A gdy choroba przeciągała się, chcąc

okazać wdzięczność nawet najbiedniejsi chcieli coś jej ofiarować, by się miała czem pokrzepić, a więc przynosili jaja, kurczęta, młode ziemniaki, wino, dla Siostry Przełożonej Nawet książki do nabożeństwa, w których znajdowali skuteczne modlitwy, składali Siostrze Przełożonej w ofierze, by się modliła z Siostrami, to będzie zdrowa.

Ś. p. ukochana nasza Siostra Służebna cieszyła się tymi objawami i złożona ciężką niemocą, przykuta wolą Bożą do wózka, myślała o nich, by ich odwiedzać w chorobie, by ich wesprzeć, by ich uradować. — Rozrzewniający przykład objawu przywiązania przytoczę tu, żeby udowodnić jak ś. p. Siostra Wężyk pozyskiwała ludzi. Już w czasie jej choroby trzeba było stawiać płoty. Zapytałam, którego cieślę weźmiemy, a czcigodna Siostra wskazała mi dawnego, starego, który robił jej wszystko od przybycia do Tenczynka, mówiąc, że choć robota wolniej będzie postępowała, to jednak trzeba wziąć tego, bo sumienny i stary, może gdzieindziej nie dostałby roboty, będzie to i jałmużna, a ponieważ był chory na żołądek, poleciła dawać mu oprócz płacy żywność. Gdy płot był ukończony, ś. p. Siostra Tekla chciała mu za jego pracę podziękować, a z drugiej strony cieśla prosił jak o największą łaskę, by raz jeszcze mógł zobaczyć Siostrę przełożoną. Wprowadziłam więc biedaka do pokoju. Na widok Siostry Przełożonej rozpłakał się jak dziecko, całował po rękach i nogach, głaskał po głowie wypracowaną dłonią i powtarzał: „O mój kochany biedaczek“, więcej wymówić nie mógł, łzy go dławiły. Siostra Przełożona przygotowała dla niego do wyboru pieniądze i obraz na pamiątkę pracy jego. Wzruszony staruszek wybrał obraz, bo jak mówił, pieniądze się rozejdą, a obraz schowa i przypominać mu zawsze będzie Matkę Przełożoną, jego dobrodziejkę. Przyciskał też obraz do piersi i cieszył się, że Matka Przełożona o nim pamiętała. Opowiadał mi potem: „Jak tu nie kochać, nie żałować takiego anioła. Pamiętam, gdy się sprowadziła do Tenczynka, przyjechała do mnie, by zamówić ławki do szkoły i kaplicy. W domu leżała żona chora i grosza

nie było. Choć mnie wcale nie znała, dała mi 20 fl. zadatku, a tak miałem czem i żonę poratować i materyał kupiłem". I płakał starzec, czując, że wkrótce już jego dobrodziejka żyć przestanie. Podobnych faktów liczyćby można na setki. nasza Siostra nie mówiła jednak o nich nigdy sama, chyba że chciała udowodnić, że lud nie jest tak zły, jak myślimy, i by nas pobudzić do kochania tych biedaków.

Towarzysząc Siostrze Wężyk w podróży do Prus, byłam świadkiem następnego zdarzenia. Pewna kobieta, którą nasza Siostra, za swojej bytności w Lubawie, jako biedną nędzarkę wspomagała, opatrywała rany, dawała lekarstwa, po przyjściu do zdrowia doszła pracą i oszczędnością do tego, że kupiła sobie wózek i konika i trudniła się sprzedarzą jarzyn na rynku. Dowiedziawszy się, że Siostra Wężyk jest w Lubawie, zajechała przed dom Sióstr, a spostrzegłszy Siostrę Wężyk, wracającą z kościoła, upadła przed nią na kolana, objęła nogi, całowała, opowiadała koleje swego życia, przypominała dobrodziejstwa odebrane i wziąwszy ją za rękę, prosiła, by oglądnęła jej wózek i konika. Po drodze pocałowała ją w rękę i powiedziała: „Ja wiem, że w podróży grosz często potrzebny, proszę przyjąć to, na co mnie stać, dziś mogę sobie na to pozwolić. Proszę mi nie odmawiać". To mówiąc, wsunęła jej w rękę jakąś monetę, zawiniętą w papier. Siostra Wężyk podziękowała serdecznie, a gdy wróciła do domu, rozwinęła papier i ujrzała talar. Suma to znaczna dla tak ubogiej kobiety. Łzy rozrzewnienia popłynęły z jej oczu, ucałowała talar i powiedziała, że to najdroższa dla niej pamiątka, bo dar wdzięczności, i że go nie wyda do śmierci. Słowa dotrzymała, bo dopiero będąc drugi raz zaopatrzoną, czując się blizką śmierci, oddała talar księdzu Wizytatorowi, ażeby go złożył u stóp N. Panny. Wiele razy widziałam, jak otwierając komodę, w której ten talar był schowany, wyjmowała go i ze czcią całowała. Jak boleśnie było jej rozstać się z tym skarbem poznałam z jej słów, gdy w kilka tygodni po oddaniu go powiedziała mi: „Już nie mam talara — oddałam go Ojcu". Widocznie,

składając go w ręce Najprzew. Ojca, nie chciała, by był uważany jako zwykły pieniądz, ale jako dar wdzięczności, godny by służył jako votum.

Pobożność Siostry Wężyk była dziwnie prosta, jakiej w życiu nie zdarzyło się spotkać. Zasadzała się ona nie na długości modlitw, lecz na tem, by każdą jej chwilę należycie wyzyskać. Gdy zdarzyło mi się czasem przerwać jej modlitwę, podnosiła na mnie wzrok, jakby z zachwycenia, tak że czułam wielką przykrość, ilekroć byłam zmuszoną to uczynić. Każde jej słowo tchnęło wiarą i miłością Boga, a jej zjednoczenie z Bogiem musiało być bardzo ścisłe, kiedy każdy, kto się do niej zbliżał, czuł to, widział i odchodził zagrzany chęcią miłowania Boga i służenia Mu lepiej, hojniej.

Miała wielkie nabożeństwo do Serca Pana Jezusa, do Dzieciątka Jezus, do Najśw. Maryi P. i do św. Józefa. Chcąc uczcić miesiąc poświęcony czci św. Józefa przetłomaczyła z francuskiego modlitewnika nabożeństwo marcowe i wspólnie z nami je odmawiała, ubierała Jego figurę, zapalała lampki, w ogóle czyniła wszystko, coby mogło nas przejąć nabożeństwem do tego wielkiego Świętego. Jego opiece poleciła potrzeby szwalni i od tej chwili nigdy szwalnia nie była bez roboty. Miesiąc Najśw. Panny był dla niej miesiącem szczęścia. Choć zwyczajnie wiele pracy zadawała sobie przy ubieraniu kaplicy, to ten miesiąc i następny był miesiącem szczególnego jej zamiłowania i starania. Gdy nie mogła być z powodu choroby na majowem nabożeństwie, odprawiała je z Siostrą pozostałą w kaplicy z wielką pobożnością, a w jej głosie czuć było, jak bardzo kocha swą Niebieską Matkę. Dla Pana Boga, dla ubogich, dla kaplicy niczego nie żałowała, chociaż we wszystkiem przestrzegała zachowania ubóstwa i prostoty. Miesiąc Serca Jezusowego witała także z wielką radością. Dobierała wtedy kwiatów pąsowych, by stroić przybytek Panu.

Nabożeństwo październikowe również bardzo kochała i zachęcała, byśmy odmawianie różańca wpajały w dziatwę, starsze dziewczęta i kobiety — sama nie uczestniczyła w tem

nabożeństwie, gdyż odbywa się ono tutaj wieczorem, a jak sama mówiła, nocnego nabożeństwa nie lubiła. Nie dziw, była osobą starszą, a jako dla takiej, ciemności i wilgoć wieczorna, nieraz niepogoda, bardzo utrudniały niedaleką zresztą drogę do kościoła. Zato odmawiała po większej części przez ten czas różaniec z Siostrą, pozostającą z nią w kaplicy, i ofiarowała go na intencye dusz czyścowych.

O duszach zmarłych bardzo pamiętała i zachęcała nas do tego nabożeństwa, kupowała w tym celu odpowiednie książki i rozdawała je Siostrom. Przez cały miesiąc listopad każda z nas miała kolejno polecone odprawianie drogi krzyżowej za dusze w czyścu cierpiące, a gdy nie było w tym dniu Komunii św. (w czasach przed dekretem), to Siostra, na którą kolej przypadła, przyjmowała na tę intencyę i Komunię św.

Najulubieńszem jednak jej świętem było Boże Narodzenie. Czas adwentowy poświęcała ciągłym ćwiczeniom przeróżnych kolęd, by jak najmniej niegodnie przywitać Bożą Dziecinę w czasie Mszy Pasterskiej. Jakże boleśnie odczuła to, że będąc chorą grać wtedy nie mogła. Była to może jedna z największych ofiar, jaką Bogu złożyła. Przebierała palcami po kołdrze i nieraz łzą zrosiła oblicze. „Już nie będę grała kolęd“, mówiła ze smutkiem. Chciała, by to święto było świętem radości dla wszystkich, to też starała się, by ubodzy, dziatwa i starcy, chorzy dostawali upominki, w ubraniach, pieniądzach i żywności.

Rozrzewniającem było jej rozporządzenie na parę dni przed utratą przytomności. Na św. Mikołaj wręczyłam jej małą sumę pieniędzy, by nimi rozporządziła na korzyść ubogich, i zapytałam, czy zadowolona. Odpowiedziała, że tak, ale wolałaby więcej. Kazała zawołać Siostrę od ubogich, której natychmiast całą sumkę oddała, przeznaczając dla każdej ubogiej wedle swego uznania — a tak była przytem szczęśliwa i uradowana, że żałowałam mocno, iż nie mogłam jej więcej oddać do rozporządzenia. Uśmiechając się mówiła: „Muszę się spieszyć, bo jak tylko włożę do mego wo-

reczka, to ona, gdy jej zabraknie, zabierze mi". Do końca dnia okazywała radość, że mogła ucieszyć swych ukochanych ubogich. Ich radość była jej radością, a ich boleść je bólem.

Bardzo lubiła Gorzkie żale. Opowiadała mi, że będąc jeszcze w domu, codziennie na nie z matką chodziła, gdyż w Krakowie odprawiają się one bez przerwy przez cały post — codzień w innym kościele. Ceniła bardzo wszystkie benedykcye kościelne — używała ich z wiarą. Wielką wagę przykładała do kropienia wodą święconą — do końca życia o nią się upominała. W wolnych chwilach przepisywała modlitwy, by nam zrobić przyjemność i obdarzyć wybraną przez siebie jaką piękną modlitwą.

Siostra Wężyk była dobrą córką Kościoła, Zgromadzenia i Ojczyzny i choć patryotyzmu nigdy nie afiszowała, jednak czuła każdą klęskę narodu, każdy upadek. W trudnem położeniu każdego zanosiła sama i wspólnie z nami gorące modły, by Bóg odwrócić raczył ciężkie doświadczenie. Gdy pewien ksiądz zaczął wichrzyć w naszej okolicy, rozpoczęła odmawiać z nami jedno Zdrowaś Marya po Mszy św., w celu uproszenia u Boga usunięcia złego, które mógł sprawić, i do dziś jeszcze tę modlitwę odmawiamy. Gdy sama była w ucisku, lub dom w potrzebie, to wtedy miała zwyczaj, modląc się nawet z nami, powtarzać jedno wezwanie, wyraz lub zdanie po kilkanaście razy. Z początku śmieszył mnie ten rodzaj modlitwy, po niejakim czasie zaczął mnie niecierpliwić, tak że powiedziałam jej pewnego razu: „Czego my tak stękamy?" Na to Siostra Przełożona ze zwykłą sobie dobrocią i uśmiechem rzekła: „Gdy będziesz kiedy w ciężkiem położeniu, stękaj i ty, a zobaczysz jaki skutek ma to stękanie". I doznałam go na sobie — gdy w czasie długiej choroby klęcząc zrozpaczona przy łożu boleści, błagałam zmiłowania, przywrócenia zdrowia. Bóg wysłuchał podług Swej najświętszej woli, wlał w mą duszę rezygnacyę!

Widziałam ją nieraz, jak wskutek choroby nie mogąc klęczeć, oddawała tak głęboki ukłon P. Jezusowi, utajonemu

w Najświętszym Sakramencie, i z takiem uszanowaniem, iż nieraz myślałam, że tak kłaniać się może Bogu tylko dusza głęboko wierząca. Podczas ostatnich świąt Wielkanocnych, które na ziemi obchodziła, gdy Siostry poszły na rezurekcyę, zawiozłam ją z drugą Siostrą do okna, skąd mogła widzieć procesyę. Na widok Hostyi Najświętszej oddała Jej pokłon głęboki i łzy radości i wzruszenia spłynęły po jej twarzy. Gdy Siostry wróciły, w słowach pełnych uniesienia wyraziła nam wdzięczność za tę pobożną radość, którą jej tą drobną usługą sprawiłyśmy.

W chorobie największa radość, jaką jej mogłyśmy sprawić, było zawieźć ją na Mszę św. do kaplicy, lub by pokłonić się i pomodlić się mogła w ukochanej swej kapliczce, którą tkliwie kochała i o którą tak zawsze się starała. Gdy przejeżdżała przez korytarz, trzeba było choć drzwi uchylić od kaplicy, by mogła oddać hołd P. Jezusowi, ukrytemu w tabernakulum. Dopytywała się, jak kaplica ubrana, pamiętała o lampie wiecznej i o lampkach, które zawsze świecić poleciła w piątek i w sobotę. Jakież to dla niej było szczęście, gdy w czasie choroby odwiedził ją Najprzew. ks. Biskup i pozwolił, by Mszę św. odprawiono w jej dormitarzu. Jakże serdecznie dziękowała i nam i Przewielebnym Księżom, którzy robili jej tę wielką łaskę. Komunia św., ten pokarm Boży, był celem jej prágnień.

Nie potrafię opisać szczęścia i radości, z jaką powitała wiadomość, że ks. Proboszcz będzie co dnia przychodził, by jej dać P. Jezusa. Nieraz w nocy, nie wiedząc, która godzina, pytała: „A czy P. Jezus przyjdzie? Trzeba się przygotować na Jego przyjęcie“. I w głębokiem skupieniu zatopiona, oczekiwała swego Zbawcy. Już nawet gdy nie miała zupełnej przytomności, widok P. Jezusa, ukrytego w Hostyi Najświętszej, rozjaśniał jej twarz i obudzał wzruszenie. Dopiero paraliż języka spowodował, że od 16 stycznia przyjmować nie mogła swego Boga i Pana, którego kochała całą potęgą swego serca i duszy.

Spowiedź św., do której gotowała się z wielką pobożnością i wiarą, była dla niej zawsze udręczeniem, jak sama mówiła; zawsze miała wątpliwość, czy się dobrze spowiadała. A jednak nigdy jej nie opuszczała, bo, jak mówiła, potrzebuje łaski Bożej do ustrzeżenia się grzechu.

Modlitwom Zgromadzenia wierna była w najdrobniejszych nawet szczegółach, nic dla niej nie było małem, wszystko było wielkiem, bo odnosiło się do wielkiego Pana nieba i ziemi. Koronkę lubiła odmawiać wspólnie, toteż tak urządzała swe czynności, by gdy wrócimy z klas, można ją było razem odmawiać. Idąc do izby, zapraszała wtedy: „Kto może, proszę na koronkę“. W kaplicy sama zachowywała się z wielkiem uszanowaniem i nie mogła znieść, by temu uchybiano. Nieraz gdy widziała schylające się głowy w czasie medytacyi, brała dziadka i nim budziła śpiące. Nieraz w chorobie mówiła: „Nie bójcie się, ja was po śmierci straszyć nie będę, przyjdę tylko wtedy, gdy która będzie spała w kaplicy“. — Do konferencyi przygotowywała się z wielką starannością, a zbiór ich od r. 1885, to zbiór najcudniejszych myśli, przestróg i upomnień zbawiennych.

Lubiła i ceniła pracę wspólną, toteż zdumioną nieraz byłam widząc, jak w tym wieku z bolącą po złamaniu ręką szła do prasowania, by choć parę kołnierzy wyprasować. Pomagała przy sporządzaniu pieczywa, nauczała i pokazywała, jak co robić. — Siostra w kuchni była szczególniejszym przedmiotem jej opieki. Zawsze po śniadaniu zachodziła do kuchni, by się tam naradzić z Siostrą, co i jak przyrządzić na obiad. Robota w polu i ogrodzie była jej ulubioną, toteż pilnowała, by wszystko było starannie zrobione. Sama nieraz klęcząc wyrywała chwasty, sadziła, podlewała, lub obierała owoce. Zwyczajnie nie lubiła zbierać kwiatów, posadzonych przed domem, gdyż mawiała, że one rosną dla Boga. Za domem jednak urządziła osobne grządki z kwiatami, na bukiety do kaplicy. Te robiła z zamiłowaniem mimo trudu, jaki nieraz musiała sobie zadać, bo w tym wieku

rwanie kwiatów, dźwiganie ich, noszenie wody i t. p. wymaga pewnej siły.

Opowiadała mi, że gdy przybyła do Tenczynka i urządziła dom, zakres działania był dla niej, przyzwyczajonej do ciągłej, wytężającej, z każdą chwilą czasu liczącej się pracy, tak mały, że nie mogła pogodzić się z myślą takiego świętowania. Postanowiła zająć się ubogimi wieśniakami, odwiedzać ich po domach, poznawać ich, pouczać i leczyć ich. Była w tem wielka trudność, znajdowała z jednej strony rzeczy takie, jakie zdarzają się u dzikich tylko, z drugiej strony spotykała opiekę nieprzychylną Siostrom i paraliżującą ich wpływ. Musiała swoje odwiedzanie ograniczyć. Cóż jednak robić z czasem? Oto od strychów do piwnicy robiła porządki, zamiatała strychy, korytarze, szyła nową i naprawiała starą bieliznę, szyła wiele na maszynie, robiła rzeczy różne dla Sióstr i ubogich, szlaki do kościoła i ołtarzy, rysowała wzory i wymyśliwała roboty, tak, że w domu naszym jest kilka robót jej pomysłu, oryginalnych, jakich niema na całym świecie. Nie próżnowała nigdy, a choć robota ręczna nużyła ją i nie odpowiadała jej czynnemu i energicznemu usposobieniu, mimo to niktby tego nie odgadł, widząc ją zajętą. Lubiła robotę bardzo dokładną, staranną i czystą, i zawsze gdy taką znalazła, nie omieszkała pochwalić i zachęcać do dalszej pracy dla Pana.

Siostra Przełożona była bardzo umartwiona, szczególnie w jedzeniu, używała potraw najprostszych i nie pozwalała też, by Siostry grymasiły. Dbała, by żywność była pożywna i dobrze przyrządzona, ale prosta. To też gdy czasem coś lepszego przyrządzono, zadawalała się pokosztowaniem, resztę oddawała innym. Wszystkie desery spotykał ten sam los. Z nagjłębszą troskliwością czuwała, by Siostry chore były należycie obsłużone — sama ich doglądała i oddawała im nieraz najniższe usługi. Kiedy już wiekiem i chorobą wycieńczona, nie była w stanie sama się niemi zajmować, powierzała staranie o chore tym Siostrom, o których była pewna, że ze skrupulatną wiernością wykonają jej i lekarza zalecenia.

O ile dla siebie surową była pod każdym względem, o tyle wyrozumiałą była dla Sióstr.

Była umartwioną w siedzeniu, w ruchach, w obieraniu miejsca. Nigdy nie widziałam, by nogę założyła, wyciągnęła, choć te ustawicznie ją bolały — siedziała zawsze prosto, bez opierania się, a wybierała miejsca niewygodniejsze. Nie widziałam też w Zgromadzeniu Siostry, lepiej praktykującej ubóstwo, jak ona. O ile troskliwą była w zaopatrywanie swych towarzyszek w potrzebne im rzeczy, o tyle sama obchodziła się prawie bez wszystkiego. Suknia jej była wytarta i połatana do tego stopnia, że wreszcie żadna Siostra nie chciała podjąć się jej naprawy. Dopiero wtedy zgodziła się wziąć inną, a emerytka przydała się tylko na poduszki do wycierania podłogi, które musiały być gęsto pikowane, by się nie rozleciały. Chustka jej był to prawdziwy strzęp; to też hr. Potocka, przyjaciółka jej lat młodych, którą Siostra Wężyk nadzwyczaj kochała i szanowała, dbając o jej zdrowie, ofiarowała jej piękną chustkę „Himalaja", którą własnoręcznie wywatowała wewnątrz. Cieszyła się, że Siostra jej będzie używać, ponieważ to jej własna robota. Stało się inaczej. Siostra przełożona miała ją raz na sobie, a gdy w kilka dni wyjeżdżała z Tenczynka jedna Siostra, odpruła wywatowanie, a chustkę jej dała. Gdy p. Potocka dowiedziała się o tem, przysłała jej drugą, lecz i tę spotkał los podobny. Wtedy ofiarowała jej ta zacna matrona serdaczek wielbłądzi i takież rękawy, mówiąc, żeby się tego nie pozbawiła, bo to cienkie i lekkie. Niestety u Siostry Tekli nic długo poleżeć nie mogło, więc i serdaczek poszedł drogą poprzedniczek. Inne jej rzeczy były tak nędzne, tak wycerowane, że gdy się zbliżył jej jubileusz, musiałyśmy udać się do Przełożonych prowincyi, by pozwolili przygotować dla Jubilatki wszystko nowe, godne tak niezwykłej uroczystości. Gdy dostała coś lepszego, szukała kogoś, żeby się pozbyć tej rzeczy, a sama zostawała przy łaszkach. Jej osoba nie obciążała budżetu domowego, bo wszystkie z tych niewielu rzeczy, jakich używała, były przeważnie darami.

Była bardzo oszczędną, nie robiła żadnych zbytkowych wydatków. Nieraz na moje uwagi mówiła mi, że na wielkich wydatkach trudno oszczędzić, przeciwnie na tych małych, drobnych, zawsze można i trzeba, bo tu łatwy zbytek, gdyż małe sumy łatwo się wydaje. O ile dbała o zaopatrywanie w rzeczy potrzebne wszystkie Siostry, o tyle starała się dla chorych o rzeczy wszelkie możliwe, aby tylko ulżyć im w cierpieniu. Nieraz w sekrecie kupowała, przywoziła, dźwigała różne rzeczy, a potem prosiła jak o łaskę o przyjęcie, gdy Siostra obdarowana wzdrygała się ubrać dla tego, że wydatek był znaczny. Sama przyrządzała rzeczy ciepłe, mierzyła, by tylko chorej dogodzić, zabezpieczyć od zimna.

Miłość jej dla Zgromadzenia, dla ubogich, potrzebujących, była chyba podobna do miłości pierwszych naszych Założycieli. Przełożonych szanowała i kochała tak, jak najlepsze dziecko swoich rodziców. Bez ich wiedzy i woli nic nie robiła, tak że nieraz zdziwioną byłam, gdy o najdrobniejsze rzeczy zapytywała ich, czy może załatwić. Zdawało mi się, że takie pozwolenia wchodzą w zakres jej urzędu. Mówiła mi wtedy: „Nigdy nic nie robiłam bez pozwolenia i wiedzy Przełożonych; stąd byłam zawsze w sumieniu spokojna i Bóg mi błogosławił.“ Wszystko, co od nich pochodziło było jej drogie, każdy list od nich, który otrzymywała w chorobie, witała z radością, całowała z uszanowaniem i kazała sobie czytać kilka razy. To też była niezmiernie szczęśliwą, gdy dostała telegram z błogosławieństwem O. Generała, w chwili, kiedy zdawało się jej, że koniec się zbliża. Dziwnie też dobrą była dla Siostry Wężyk w ostatniej chorobie ś. p. Najprzew. Matka Kieffer, która prawdziwie macierzyńskiemi listami, z namaszczeniem Bożem zachęcała ją do poddania się woli Bożej. Jeden z listów O. Generała był jej tak drogi, że chciała, jak mówiła, stanąć z nim przed sądem Bożym i kazała włożyć go sobie do trumny. Błogosławiąc nas po przyjęciu ostatnich Sakramentów, zalecała nam głosem, drżącym od wzruszenia, miłość, szacunek i zaufanie do Przełożonych. — Towarzyszki kochała w Bogu i dla Boga.

Wszystkie pociągała do Niego, wszystkie zagrzewała miłością dla Boga, dla Zgromadzenia i zachęcała do miłości względem siebie.

Nic ją bardziej nie bolało, jak brak miłości w Zgromadzeniu i między towarzyszkami. Wtedy używała różnych forteli, aby ułagodzić strony poważnione. Gdy której z Sióstr trudno było ją przeprosić, wtedy z miłością macierzyńską zbliżała się pierwsza, pytając się nieraz: „No cóż, gniewasz się jeszcze?" A tak czyniła pierwsza krok do zgody, zawstydzała winną i naprowadzała na właściwą drogę. A z jaką miłością i łagodnością to czyniła, to tylko ten zrozumie, kto na sobie tego doświadczył. Opowiadano mi, jak jedna z Sióstr w wielkiem uniesieniu rzuciła jej wór szmat pod nogi. Siostra Tekla nie wyrzekłszy słowa uklękła, pozbierała szmaty i włożyła je do worka. Naturalnie, że taka miłość i pokora nie pozostały bez wpływu. Nie obrażała się niczem, z miłością przebaczała, ale wymagała, by władza była szanowaną, i dlatego w naukach swych często to uszanowanie zalecała.

Była sama wesoła i lubiła, by wszyscy koło niej byli szczęśliwi, weseli, zadowoleni, to też żadna zmiana w twarzy i usposobieniu nie uszła jej uwagi. Zawsze pytała o przyczynę i starała się zaradzić. Posiadała znajomość ludzi, nabytą wielkiem doświadczeniem, i wyczytała w ich oczach wszystko, zanim jej powiedzieli coś o sobie. Stąd była ostrożna, rozważna i małomowna i nigdy nie znalazła się w kolizyi przykrej przez własną winę. Gdy jednak potrzeba i miłość bliźniego wymagała, nie obawiała się narazić, prosić, użyć wpływu, by dopomódz jakimbądź sposobem.

Była ożywiona wielką miłością dla chorych, biednych, opuszczonych, a przedewszystkiem dla starych. Ci byli przedmiotem szczególnej jej opieki, gdyż mówiła, oni są najwięcej pożałowania godni, gdyż zarobić nie mogą na życie. Dzieci kochała bardzo, bo widziała w nich lepszą przyszłość, dbała, by Siostry pracujące nad niemi sumiennie wypełniały swój obowiązek, by się kształciły, ażeby jak najwięcej wiadomości

mogły im udzielić. Postępy dzieci, ich dobre zachowanie cieszyły ją ogromnie i dziękowała za to Bogu. Bolała nad ich upadkami, podwajała wtedy swe modły i ofiary, zaostrzała dozór, w ogóle czyniła wszystko, by dzieło, któremu poświęciła życie, przyniosło chwałę Bogu, a ludziom pożytek. Z macierzyńską miłością przemawiała do dzieci, żebrała dla nich u obcych i swoich, by okryć biedaków. Jeżeli czasem była surową, to wtedy tylko, gdy na liczne upomnienia i przestrogi byli głuchymi. Był to widok wzruszający, jak jeszcze w chorobie ostatniej myślała nad tem, by dać dawnemu uczniowi zarobek, a bosym biedakom obuwie. Cieszyła się jak dziecko, gdy 3 pary butów mogła mi ofiarować na urodziny, a tak kilka radości w jednej połączyć. Sprawiła uciechę sobie, mnie, dzieciom obdarowanym i Siostrom, które je mogły rozdzielić. Szczególną miłością otaczała szwalnię i ochronę, które utrzymywała wyłącznie swoim funduszem. Dbała bardzo, by w serca dziatek małych zaszczepiać cnotę i zasady, które choć przytłumione okolicznościami, z czasem jednak odezwą się i uchronią od złego. Zaglądała też często do ochrony i zasilała w słodycze i dary dla zachęty i nagrody. Troszczyła się o starsze dziewczęta ze szwalni i dawała im zarobek, by je ochronić przed złem towarzystwem, pouczać, co im wolno, a czego nie wolno, wskazywać drogę bezpieczną, by bezpiecznie doszły do celu. Potrzebujące wspomagała, o zdrowie ich dbała z macierzyńską troskliwością, dla każdej miała dobre słowo pociechy, zachęty. Wszystkie też kochały ją jak matkę.

Domowników, służbę uważała za członków rodziny, była dla nich nie panią, ale matką, dbała o ich potrzeby, wynagradzała hojnie, obdarowywała rozmaitemi rzeczami, w chorobie dostarczała im lekarstw, sprowadzała lekarza, dbała o ich zdrowie, jak o swoje, mówiąc, że to ich majątek. Była wyrozumiałą na ich usterki, nie rozkazywała nigdy, ale radziła się, prosiła o zrobienie, to też służba kochała ją i uwielbiała jak świętą. Siostra Przełożona była dla nich wszystkiem, dla niej wszystkoby zrobili, mieli do niej nieogra-

niczone zaufanie. W chorobie składali się na Msze św., by wyżebrać u Pana dla niej zdrowie, a gdy umarła, stratę tę odczuli bardzo, nie można ich było utulić, nie można było w nocy inaczej jak rozkazem oddalić ich od zwłok ukochanych. Jako największe dobrodziejstwo powitali oznajmienie, że pojadą wszyscy na pogrzeb do Krakowa. Służba trzymała się też latami, a ta, co była już na swojem, w chorobie odwiedzała ją, znosząc dary swego wyrobu, by Matce Przełożonej przypadły do smaku, i z wielką uciechą patrzyły, jak biedna chora gwałt sobie zadawała, by dla zrobienia im przyjemności skosztować.

Kochał ją i lud wdzięczny za dobrodziejstwa, wdzięczny za macierzyńskie obchodzenie się z nim. Rozrzewniającem było, gdy po zgonie pozwolono im pomodlić się przy zwłokach. Ze łzami całowano ją po rękach ze słowami: „Niech ci Bóg wynagrodzi za wszystkie dobrodziejstwa“. Matki podnosiły dzieci, by zapamiętały swą dobrodziejkę. Były osoby, które od rana do eksporty do kościoła wieczorem nie opuściły kaplicy ani na chwilę, nie chcąc rozstawać się z drogiemi złokami. Taką miłość zaskarbiła sobie u wdzięcznego ludu. Niemniej jednak dbała o szkołę, która będąc rządową nie przymnażała jej kłopotów finansowych. Biedaków i tu znajdowała i zaradzała złemu, sprowadzając stosy różnorakiej garderoby dla zmiany ich nędznych kostyumów. Dbała, by Siostry klasowe kształciły się dalej.

Dziełem, do którego Siostra Tekla przykładała wielką wagę, była pierwsza Komunia św. dzieci. Już od Środy Popielcowej zaprowadziła rozpoczęcie przygotowania i poleciła Siostrom dostarczyć jej na ten dzień dokładnego wykazu, ile dzieci, w jakim wieku i z którego stopnia nauki ma się przygotowywać do tej świętej Uczty. Pilnie wypytywała się nas o zachowanie dzieci, udzielała cennych rad i gromadziła to, co było potrzebnem, by uświetnić ten dzień uroczysty. Śliczny to był widok tych dzieci, gdy w strojach krakowskich, dziewczynki w białych podniczkach i takichże chustkach na głowie i niebieskich gorsetach, a chłopcy w sukmanach

i czerwonych krakuskach, ze sztandarem spieszyli do kościoła. W wigilię przychodziła Siostra Przełożona do tej skupionej drużyny, zachęcała, by jak najgodniej przygotowali się do przyjęcia P. Jezusa, dawała rady, wskazówki, a wreszcie obdarzała każde dziecko piękną książką do nabożeństwa, koronką, szkaplerzem, do którego w tym dniu wszyscy zostawali przyjmowani, i chusteczkami do nosa i na głowę. Gdy jednak znaleźli się biedacy, którzy nie mieli na ten dzień nawet koszuli, i te im ofiarowywała. Jednem słowem myślała o wszystkiem, by dzień ten uświetnić i uprzyjemnić. A z jaką miłością i radością witała ich, gdy wracali z kościoła. Kaplicę na ich przyjęcie stroiła jak najpiękniej, modliła się z nimi razem o wytrwanie w dobrem, potem prowadziła dzieci do osobno przygotowanej dla nich izby, gdzie czekało na nich sute śniadanie. Potem dawała im kilka groszy na tackę, by zachęcić ich do dawania jałmużny i kilka groszy, by kupiły sobie łakoci. Tak ta dobra matka myślała o wszystkiem.

Nigdy nie widziałam osoby pracowitszej i znające pracę w każdym kierunku tak, jak ją ona znała. Od muzyki, rysunków, języków, literatury i innych przedmiotów naukowych, skończywszy na pracy rolnej, około trzody, bydła — wszystko było jej znane, na wszystkiem się rozumiała, wszystkiego nauczyć potrafiła. Żadnej pracy się nie wstydziła, w każdej własnoręcznie brała udział. To też i Siostry widząc, jak Przełożona postępuje, starały się ją naśladować pomagały i od żadnej, choćby najprzykrzejszej pracy się nie usuwały, bo przykład, to czynnik tak dodatni, że mimowoli działa na drugich. By ujednostajnić porządek domowy, zadała sobie tyle trudu, że dla każdego urzędu napisała bardzo dokładny regulamin i poleciła go odczytywać, ażeby przypominać sobie, jak każdy urząd ma być dopełniony. Są tam uwagi bardzo praktyczne i cenne, a urząd dominujący w domu napisany z takiem uczuciem, że gdyby zawsze tak był zachowany, to nie pozostawałoby nic do życzenia. W ogóle była bardzo troskliwą o pouczanie swych towarzyszek, a tak

mówiła praktycznie i taki posiadała dar organizacyjny, że gdy się szło za jej radą, nigdy się nie zbłądziło, a zawsze nabywało się pewnego doświadczenia.

Z natury była gwałtowną, jednak wychowanie staranne i praca nad sobą aniby się domyśleć tego nie pozwoliły. Była zawsze spokojna, cicha; nigdy, nawet upominając, nie podnosiła głosu; jeżeli mówiła jędrniej i dobitniej, to wtedy, gdy rzecz była wielkiej wagi, gdy chodziło o Zgromadzenie, pokój domowy, lub coś podobnego, jakby chciała już głosem poruszyć i zachęcić do wejścia w siebie, do pracy nad sobą. Z twarzą uprzejmą, a nawet z pokorą słuchałą nieraz wymówki niedelikatnej od swych podwładnych i gdy tylko uważała, że będzie z tego korzyść dla strony przeciwnej, upokarzała się i przepraszała. Gdy jej czasem robiono zarzut, czemu tego raczej surowo nie skarci, odpowiadała ze słodyczą: „Cóż chcesz, żebym w jednej chwili straciła to, nad czem tyle lat pracowałam. Jestem gwałtowna, łatwo w uniesieniu traci się równowagę, wolę więc znieść cudzą niedelikatność, niż narazić swoje sumienie". I znosiła wiele, znosiła mężnie i codzień. Nigdy też nie narzucała swego zdania, owszem jeżeli zdanie towarzyszki było dobre, szła za niem. Gdy widziała, że błędne, prostowała je, wykazywała w czem je należy zmienić, w czem leży błędne zapatrywanie, a tak wyrabiała sąd, kształciła charakter. Swego zdania nie wyjawiała nigdy, chyba pytana o to.

Kochała milczenie i skupienie. Zjednoczona z Bogiem, mieszkając z nim pod jednym dachem, chciała, by dom jej, był przedsmakiem nieba. Zalecała więc spokój, milczenie, w miejscach na to przeznaczonych, poleciła przylepić kartki z sentencyami dla przypomnienia, a najwięcej uczyła przykładem. Przechodziła jak cień, zamykając i otwierając drzwi cichutko, mówiła głosem przyciszonym i nie znosiła głosów hałaśliwych i rubasznych. Na rekreacyi chciała by było wesoło, ale tak, jak się weselić powinny osoby Bogu poświęcone, z powagą i pamięcią, że Bóg tam obecny. Ażeby rekreacyę uczynić ożywioną a nie hałaśliwą, wyszukiwała roz-

maite przyjemności. Do najmilej widzianych u nas była loterya. Ta dobra Matka całe tygodnie zbierała fanty, pakowała drobnostki w mnóstwo papierów, by zaostrzyć ciekawość przy rozpakowywaniu, i w niedzielę z pełnym koszem, zwołując swą dziatwę duchowną, przychodziła na rekreacyę. Ileż to było radości i śmiechu w granicach przyzwoitości, gdy która z wygrywających po rozwinięciu mnóstwa papierów znalazła halerza, 10 h, 20 h, 1 K, pudełko zapałek, które wkładała dla ubawienia nas. Nie trzeba jednak sądzić, by nie było fantów znaczniejszych, owszem, ale takie nie bawiły tak, jak n. p. pudełko z pestkami daktyli. Jej całe ułożenie, zachowanie, chód, sposób wysłowienia, był tak miły, tak pełen godności osoby Bogu poświęconej, że budował i zachwycał wszystkich.

Długa, wyczerpująca praca, ciężkie przejścia w Zgromadzeniu, panowanie nad sobą, ustawiczne powściąganie swych skłonności, wreszcie strata ukochanych osób, podkopały jej zdrowie. Zaczęła zapadać na zdrowiu od r. 1906. Po przebyciu cichej influenzy w początku marca, zaczęła się rozwijać choroba nerwowa. Jak zawsze surowa dla siebie, nie chciała lekarza. Uciekłyśmy się wtedy do różnych forteli i gdy prośby rodziny nie mogły jej skłonić do zasięgnięcia porady lekarskiej, uprosiłyśmy ś. p. hr. Adamową, która miała na nią wpływ. Zacna ta matrona, która sama przykuta była do wózka, przysłała swą córkę, hr. Branicką, z lekarzem i ta w imieniu matki na kolanach prosiła, by pozwoliła się zbadać. Zaskoczona tak zgodziła się, a wtedy p. Branicka wezwała lekarza, który czekał za drzwiami, a sama udała się do kaplicy, by błagać Boga o światło. Zwapnienie żył, serca i nerwy, oto choroby, które powoli niszczyły organizm. Chorobę tę znosiła z anielską cierpliwością i poddaniem się woli Bożej. Ś. p. hr. Adamowa była aniołem opiekuńczym dla niej. Ona zaspokajała jej potrzeby, płaciła lekarza i lekarstwa, dostarczała zbytkowniejszych rzeczy, służących do wygody. Raz gdy z chorą było źle pojechałam do Krakowa, by zaprosić lekarza na konsylium

i musiałam wstąpić do hrabiny, aby jej zdać sprawę. Hr. Adamowa słuchała mego opowiadania, a gdy zakończyłam słowami „My tak kochamy Siostrę Wężyk, że chciałybyśmy o ile możności przynieść jej ulgę i zatrzymać wśród nas", chwyciła mnie ta zacna dama jakby zgorszona za rękę wołając: „A któżby Siostry Wężyk nie kochał!" Kochano ją i wszyscy starali się jej ulżyć — Bóg miał jednak inne zamiary.

Hr. Adamowa umarła 30 września 1908, a ś. p. Siostra Tekla przechorowawszy kilka tygodni, rok jeszcze wśród nas pracowała, choć nie odzyskała sił dawnych. Dnia 2 października 1908 r. tknięta paraliżem dwa lata i cztery miesiące spędziła na łóżku, a raczej na wózku, skazana na zupełną bezczynność, na zupełną zależność od drugich. Kto znał tę osobę czynną, pełną życia i energii, ten zrozumieć mógł, co to za cios był dla niej. Ukorzyła się jednak przed wolą Bożą i nigdy żadna skarga, żadne użalenie z ust jej nie wyszło.

Budująca była, jak prosiła o rzecz każdą, za każdą z taką wdzięcznością dziękowała! Wózek jej to była wymowna kazalnica, z której uczyłyśmy się, jak znosić cierpienia bez skargi, dla Boga. Z niezrównaną słodyczą i miłością była nam wzorem zaparcia siebie. Słuchała we wszystkiem Sióstr, koło niej będących i ulegała im we wszystkiem. Sakramenta św., które 3 razy w ciągu choroby przyjmowała z budującą pobożnością, były jej siłą. Codzienna Komunia św., ciągłe złączenie z Bogiem, który był Panem jej serca, i modlitwa, krzepiły jej ducha w długich męczarniach. Z początku z wózka zajmowała się wszystkiem, gdyż umysł bystry zachowała do końca, potem sprawy domowe mało ją już interesowały — za to do końca interesowało ją wszystko, co tyczyło się Zgromadzenia. Z wózka dawała nam jeszcze ostatnie nauki, by zachowywać Regułę św., zwyczaje, by kochać Zgromadzenie. Gdy w lecie, chcąc zrobić jej przyjemność, wywiozłyśmy ją do ogrodu, rozpłakała się i z bolem powiedziała: „Już nigdy chodzić nie będę". Dziękowała

za wszystko Siostrom i służbie, co się robi dla domu, i zamknęła się w sobie i ból złożyła u stóp Bożych. Ona tak kochała dom i ogród, gdzie 24 lat pracowała, gdzie z gęsiego pastwiska zrobiła śliczny ogród — a praca przywiązuje. Znosiła i nasze niezdarne usługi i błogosławiła nam, dziękując bez końca za to, do czego byłyśmy obowiązane ślubem i przywiązaniem.

W połowie grudnia paraliż odebrał jej możność mówienia, a w połowie stycznia paraliż języka pozbawił ją przyjmowania Komunii św. i pokarmów. Dnia 23 stycznia, w dzień Zaślubin N. Panny o godzinie $^3/_4$ na 4 piękna jej dusza po kilku westchnieniach uleciała do nieba, by odebrać nagrodę za życie, pełne prac i poświęcenia. Bała się śmierci, to też Pan chwilę tę zakrył przed nią, odbierając jej przytomność — a tak spełniła się na niej obietnica, którą św. Wincenty dał Córkom swoim: „Kto za życia kochał ubogich i t. d.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Franciszek Reboul, 1 października w Paryżu; żył lat 63, w Zgromadzeniu 43.
Ks. Józef Relats, 18 września w Meksyku; żył lat 80, w Zgromadzeniu 58.
Br. Amand Vanbeveren, 9 października w Paryżu; żył lat 79, w Zgromadzeniu 57.
Ks. Jan Miralda, 5 października w Badajoz (prow. madrycka); żył lat 64, w Zgromadzeniu 47.
Ks. Dyonizy Audouard, 30 października w Paryżu; żył lat 23, w Zgromadzeniu 5.
Ks. Jan Machu, 30 października, w Santorin (prow. Konstantynopol); żył lat 56, w Zgromadzeniu 31.
Br. Feliks Pradier, 23 września w Sawonie (prow. turyńska); żył lat 66, w Zgromadzeniu 21.
Ks. Ludwik Le Bigot, 14 listopada w Paryżu; żył lat 76, w Zgromadzeniu 31.
Br. Wawrzyniec Morgavi, 19 listopada w Scarnafigi (prow. turyńska); żył lat —, w Zgromadzeniu 2,
Ks. Jan Husson, 7 listopada w Paryżu; żył lat 84, w Zgromadzeniu 65.
Kler. Julian Angulo, 11 grudnia w Madrycie.
Ks. Franciszek Neumann 28 grudnia w Ruyft (pr. niem.); żył lat 73, w Zgromadzeniu 44.
Ks. Klemens Baumevieille, 18 stycznia w Damaszku (pr. syryjska); żył lat 37, w Zgromadzeniu 17.
Br. Antoni Zambianchi, w styczniu w Siennie (pr. rzymska); żył lat 78, w Zgromadźeniu 54.

Siostry Miłosierdzia

zmarłe w prowincyi krakowskiej:

S. Feliksa Lewicka, 2 października w Domu Centralnym; żyła lat 75, w Zgromadzeniu 46.
S. Berta Liniewicz, 11 listopada w Żywcu; żyła lat 61, w Zgromadzeniu 21.
S. Józefa Figiel, 5 grudnia w Domu Centralnym; żyła lat 31, w Zgromadzeniu 8.